

245 / 1

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom) „ 6
Kwartał. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartał. (13 tom.) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



Za REDAKTORA i WYDAWCĘ:

Adwokat FELIKS DĘBSKI.

Redakcyja i Administracyja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88,
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK EDWARDA NÍCZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

<http://rcin.org.pl>

№ 465.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

JERZY KENNAN.

SYBERYA

PRZEŁOŻYŁ K. Ł.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

==== CZĘŚĆ I. ====

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149775

Gena 40 kop.

W prenum. 30¹/₂ kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14.

1907

<http://rcin.org.pl>



245

NH-41696K5
AkC/K/398/51

WSTĘP.

Od czasu wybudowania kolei Transazyatyckiej, Syberya przestała być tajemnicą. Szyny związały ją ze światem i umożliwiły każdemu dostęp do tych odległych krain, o których krążyły przedtem najdziwaczniejsze wieści.

W epoce jednak, kiedy mister Kennan i mister Frost odbywali swoją podróż, kolei jeszcze nie było. Nieliczny też był zastęp ludzi, którzy z własnej woli wybierali się do kraju, będącego miejscem deportacyi dla przestępców karnych i politycznych.

U nas zwłaszcza, w Polsce, sam dźwięk wyrazu „Syberya” budził grozę. Twarze tonęły w chmurnej zadumie, oczy szklily się łzami, a z piersi wydobywało się głuche westchnienie, gdy wyraz ten padł w rozmowie. I nie mogło być inaczej. Dość spojrzeć na nieśmiertelny obraz Grotgera „Pochód na Sybir.” Dość sięgnąć do wspomnień każdej przeciętnej rodziny polskiej, której tradycya obej-

muje życie trzech lub czterech pokoleń. Wszystko można wówczas zrozumieć.

Nie dziw więc, że książka Kennana, poświęcona opisowi Syberyi, wywołała wśród społeczeństwa naszego ciekawość, niestety, długo niezaspokojoną. Cenzura niepozwalala na jej rozpowszechnienie.

Dzisiaj, po manifeście 30 października, a jeszcze bardziej w obec faktów, jakie przyniosła z sobą fala życia bieżącego, sensacya „Syberyi” Kennana niewątpliwie zblednie w oczach czytelnika.

Działy się i dzieją w oczach naszych rzeczy wielkie, rzeczy epokowe. Naród rosyjski obudził się z długiego snu i zмага się w boju śmiertelnym z biurokracyą. Od dwóch lat trwa walka, a szereg ofiar, które padły z jednej i drugiej strony jest bardzo liczny. Od dwóch lat krwią i łzami pisana jest historia Rosyi wieku XX, Rosyi odradzającej się.

Czemże jest wobec tego ta odrobina prawdy, którą publicysta amerykański zdołał zebrać w podróży swojej, czem garść tych faktów, jakie podał krytyce i oświetlił?

To, co Kennan powiedział biurokracyi rosyjskiej przed laty dwudziestu, było niewątpliwie zaśmiałe i nie mogło się podobać ówczesnemu rządowi. Obecny jednak rząd spotyka się z krytyką, daleko surowszą. Słowa, jakie padły z trybun poselskich w pałacu Taurydzkim, mają większą wagę od słów ciekawego dziennikarza-turysty, szukającego wrażeń w obcym państwie i w obcym kraju, a przecież słów tych nie zdoła już cofnąć żaden

zakaz. Brzmiały one głośno i są na ustach wszystkich.

Nie w sensacji politycznej i nie w śmiałości zdania leży więc dzisiaj wartość pracy pisarza amerykańskiego. Stanowi ją natomiast to, co *nie przemija*, co jest niezależne od stosunków politycznych, a mianowicie stosunek autora do kraju, który opisuje i do ludzi, których spotyka. Pierwszy — znamionuje bystrego obserwatora, orientującego się łatwo, i umiającego uporządkować rzeczy widziane, drugi — jest na wskroś humanitarnym.

Kennan w człowieku widzi człowieka, boleje nad jego niedolą, nad jego nędzą, nad cierpieniami, w które go wtrąca martwe, bezduszne prawo.

Dla obywatela kraju wolnego, samowola administracyi i policyi była rzeczą niewytlomaczoną. To, na co patrzył własnymi oczami, przerażało go i wstrząsało do głębi jego duszą.

„Po tem, co widziałem, nie mogłem oka zmrużyć przez całą noc” — mówi nam w jednym miejscu — i czujemy, że jest to szczere, prawdziwe wyznanie człowieka, nieprzyzwyczajonego do wrażeń tak ujemnych.

Morze nędzy, przez jakie przechodzi przestępca karny, idący etapem do miejsca swego przeznaczenia, w warunkach, urągających wszelkiemu poczuciu ludzkości, spotkało się ze strony Kennana z gorącym, szlachetnym protestem. Niemniej zbadał on los wygnańców politycznych i, uderzony niewspółmiernością winy i kary, stanął całkowicie po ich stronie. Usposobiony początkowo nieprzychylnie dla „nihilistów”, gdyż rozumiał przez ten wyraz to,

co oznacza on właściwie, po zawarciu bliższej znajomości z zesłańcami „administracyjnymi” — stał się prawdziwym ich przyjacielem i obrońcą w opinii Ameryki i Europy, które były informowane mylnie i jednostronnie.

Nie służąc żadnej idei ubocznej, a mając na widoku jedynie samą prawdę, Kennan w toku całego swego opowiadania, które czyta się lekko i łatwo, jak zajmująca powieść, nie zбочzył ani na chwilę z gruntu ścisłej przedmiotowości.

Ani Polak, ani Rosyanin nie potrafiliby tak pisać o Syberyi. Mógł to uczynić tylko ktoś trzeci i uczynił, dając piśmiennictwu powszechnemu rzecz trwałą. Nie to, że „Syberya” taka, jaką maluje Kennan, niedługo należeć już będzie do przeszłości, że z kraju, gdzie wśród równin bezbrzeżnych, śniegiem pokrytych i porosłych gęstą tajgą, dźwięczą kajdany i brzmi pieśń „proszalna” zesłańców, stanie się ona może krajem, jakim przy swoich bogactwach przyrodzonych dawno być powinna. Książka Kennana nie straci na tem. Tylko będzie ona wówczas smutną kartą tego, co było, gdy dzisiaj jeszcze pod wielu względami oplakaną maluje terażniejszość...

Zdzisław Dębicki.

Przez granice Rosyi.

Wysłana przez pismo „Century Magazine” wyprawa syberyjska, odjechała z Nowego-Jorku do Liverpoolu 2-go maja. Składała się ona z artysty bostońskiego, p. Jerzego A. Frosta i z autora niniejszych opowiadań. Obaj władaliśmy językiem rosyjskim, obaj zwiedziliśmy już część Syberyi dawniej; ja krzykrotnie już podróżowałam po państwie rosyjskiem. Mego towarzysza podróży poznałem wówczas, gdy obaj zostaliśmy oficjalistami rosyjsko-amerykańskiego towarzystwa telegraficznego, które zleciło nam dłuższy pobyt w Azji północnej, pobyt, połączony z wszystkimi trudami i niewygodami podróżowania po Syberyi. Nasi rozkazodawcy zaaprobowali nasz plan podróży, zaopatrzyli nas obficie w odpowiednie środki, mieliśmy od nich prawie nieograniczone pełnomocnictwa i spodziewaliśmy się wykonać nasze zadanie z powodzeniem, choć świadomi byliśmy zupełnie trudności, jakie nas na drodze do celu czekały.

W niedzielę, dnia 10 maja, przybyliśmy do Londynu, w cztery dni później udaliśmy się w dalszą drogę do Petersburga; jechaliśmy przez Dover, Ostendę, Kolonię, Hannover, Berlin i Ejdkuny. Dość posunięta już naprzód pora roku skłaniała nas do pośpiechu, aby jaknajprędzej osiągnąć granic Syberyi i korzystać z pogody letniej; postanowiliśmy więc zatrzymać się w stolicy rosyjskiej tylko dni pięć. Ale wypadkowo trafiliśmy na początek całego szeregu tak częstych w Rosyi dni świątecznych, co zmusiło nas przebyć w Petersburgu dni dziesięć, z których mogliśmy użyć tylko czterech na załatwienie naszych interesów.

Wręczyłem p. Wlangali, sekretarzowi ministerjum spraw zagranicznych listy rekomendacyjne i wyłożyłem mu swe zamiary. Wyraziłem przytem zdanie, że o Syberyi i systemie deportacyi krążą tak pełne uprzedzeń i nieprzychylne dla rządu opinie, że prawdziwy opis tego kraju, stosunków więziennych i robót w kopalniach może wyjść tylko na korzyść rządu rosyjskiego. Nikt nie może mi podejrzewać, że nie będę badał w Syberyi tylko tych rzeczy, które będą odpowiednie do podania ich do publicznej wiadomości. Poręczało to moje dotychczasowe przychylne przedstawienie stosunków rosyjskich. Było to wtedy moje rzeczywiste przekonanie i zdawało mi się, że mogło ono usposobić przychylnie dla mnie p. Wlangali. Przy końcu naszej rozmowy, która trwała zaledwie dwadzieścia minut, oświadczył on, że otrzymamy z pewnością pozwolenie na podróż po Syberyi, że nas zaopatrzy w list otwarty do gubernatorów tej prowincji.

cyi i że postara się uzyskać dla nas także pismo polecające od ministra spraw wewnętrznych. Na pytanie moje, czy te listy umożliwią nam naoczne zwiedzanie więzień, odpowiedział przecząco i zaznaczył przytem, że na to należy każdorazowo otrzymywać pozwolenie od odnośnego gubernatora. Czy takie pozwolenie będzie nam udzielone — nie chciał mi dać stanowczej odpowiedzi. Wywnioskowałem ztąd, że rząd nie życzy sobie dać nam nieograniczonego upoważnienia i że zamierza poddać pewien rodzaj życzliwej kontroli i otwierać ~~naś pod~~ ^{ka} dostęp do więzień tylko wedle własnego każdorazowo uznania. Chociaż przewidywałem utrudnienia, jakie będziemy musieli przy takiej metodzie zwalczać, uznałem jednak za rozsądniejsze nie dopominać się o większe ustępstwa. Podziękowałem za uprzejme przyjęcie mej prośby i pożegnałem się z p. Wlangali.

Po kilku dniach udzielił mi znowu audyencyi, podczas której wręczył mi przyobiecane listy i wyraził życzenie, abym zechciał w przejeździe przez Moskwę oddać wizytę p. Katkowowi, znanemu wydawcy gazety „Moskowskija Wiedomosti”. W tym celu wręczył mi zamknięty list do archiwaryusza cesarskiego w Moskwie, barona Buhlera, który miał mnie wprowadzić do wyżej wymienionego. Charakter i działalność tego wybitnego szermierza samowładztwa nie były mi nieznane, zadowolony więc byłem, że go poznam, choć odgadywałem motyw, który kierował p. Wlangali, gdy wyraził mi powyższe życzenie. Potężna indywidualność tego publicysty rosyjskiego miała wpłynąć na umocnienie mnie

w dobrem o rządzie mniemaniu i osłabić szkodliwe wrażenia, jakich mogłem doznawać przy obcowaniu z deportowanymi nihilistami, z którymi będę musiał się spotykać. Środek ten wydał mi się najzupełniej zbytecznym, gdyż o nihilistach miałem zdanie jaknajgorsze. Moje poglądy, jakie wtedy wypowiadałem wobec wyższych przedstawicieli biurokracyi rosyjskiej były szczere i niedwuznaczne; nie uzyskałem pozwolenia na zwiedzenie Syberyi przez podstęp lub wprowadzanie w błąd ludzi, co do mych przekonań. I nie obłuda była przyczyną zmiany mego zdania, od czasu, gdy p. Wlangali te przekonania wyraził. Jeżeli dziś zmienilem je, to stało się to pod wpływem wstrząsających wrażeń, jakie mnie zmusiły do zmiany mych poglądów.

Zaopatrzyliśmy się tedy w aparat fotograficzny, w książki i mapy, uzyskaliśmy około pięćdziesięciu listów polecających do nauczycieli i urzędników we wszystkich częściach Syberyi i wyjechaliśmy wreszcie w dniu 31 maja popołudniu z Petersburga do Moskwy. Granica Syberyi odległą jest od stolicy o blisko 2570 kilometrów. Droga, którą podróżujący zwykle, a deportowani zawsze przebywają, wiedzie przez Moskwę, Niżnij-Nowgorod, Kazań, Perm i Ekaterynenburg. Sieć kolejowa rosyjska sięga na Wschód tylko do Niżniego - Nowgorodu, ale ztąd kursują podczas lata do Permu parostatki po Woldze i Kamie. Od Permu wiedzie osobniona linia kolejowa, długości 180 mil (270 kilometrów) do Ekaterynenburga, przecina ona góry Uralskie i łączy dopływy Wołgi z Obiã. Jeszcze w czasie naszego pobytu na Syberyi ukończono

kolej żelazną do Tiumenta, który leży nad odnogą Obi, tak, że można było od Petersburga do Semi-pałatyńska lub Tomska dojechać zarówno koleją żelazną jak i parostatkiem.

Po naszym przybyciu do Moskwy wręczyłem natychmiast list polecający baronowi Buhlerowi, poszliśmy następnie razem do redakcyi gazety „Moskowskich Wied.”, gdzie dowiedziałem się z żalem, że p. Katkow udał się w drogę i ma powrócić za dwa albo trzy tygodnie. Tak długo nie mogliśmy czekać i ponieważ nie mieliśmy nic innego do czynienia w Moskwie, pojechaliśmy więc koleją do Niżniego, dokąd przybyliśmy we czwartek, 4 czerwca rano.

Kto po raz pierwszy przybywa do Niżniego Nowgorodu tego przejmuje zdumienie, a nawet odczuwa, być może, lęk jakiś, gdy podąża do miasta ze stacyi kolejowej, położonej na niskim brzegu Oki, przy ujściu tejże do Wołgi. Czyste, dobrze wybrukowane ulice, mnóstwo okazałych budowli, piękna, okolona cienistymi brzoźami i topolami droga, kanał z ozdobnym mostem, wielka wieża wodociągowa, wspaniała katedra Aleksandra-Newskiego, giełda, teatry, hotele, place targowe, wszystko, co zwiastuje wielkie, ożywione miasto handlowe — ale nigdzie ani śladu istoty ludzkiej; trawa i zielska rosną obficie na pustych ulicach. Ptactwo szczebioce wśród konarów drzew, które ocieniają ciche ulice; liczne sklepy i magazyny są pozamykane; nie słychać głosu dzwonów z wież cerkiewnych. Zdumiony przybysz może tak długo się błąkać, zanim natrafi na ślad człowieka. Przypomina sobie wreszcie, że

Niżnij - Nowgorod jest miastem słynnych jarmarków i dochodzi do wniosku, że te jarmarki odbywać się muszą w owej dzielnicy miasta. Lecz mimo to, zadziwia go, że miasto, przez dziewięć miesięcy roku jakby wymarłe, może istnieć jedynie dla swego przeznaczenia w ciągu trzech miesięcy.

Dzielnica jarmarkowa Niżniego-Nowgorodu leży na półwyspie między Oką i Wolgą, powyżej miejsca, gdzie pierwsza wpada do drugiej. Stare miasto tejże nazwy leży na prawym brzegu Oki, na spadzistym, czterysta stóp wysokim tarasie. Można było miasto nazwać olbrzymim karawanserajem handlowym, gdzie corocznie zbiera się tu półmilion kupców dla zakupu i sprzedaży towarów. We wrześniu ilość mieszkańców dosięga często liczby stu tysięcy, a wartość przywiezionych towarów 75 milionów dolarów, w pierwszych zaś miesiącach roku przeciwnie, wszyscy mieszkańcy miasta pomieścićby się mogli wygodnie w najmniejszym ze znajdujących się tam hoteli i cały zapas towarów znalazłby pomieszczenie w jednym tylko z licznych magazynów jarmarcznych. Panuje tu istna gorączka handlowa, a po tej gorącej i nadmiernie ruchliwej działalności handlowej następuje długa przerwa ciszy i uśpiania. Wydaje się to prawie nie do wiary, że tak wielkie miasto z licznymi świątyniami, meczetami, teatrami, hotelami, placami targowemi, bankami i giełdą, miasto, posiadające blisko siedem tysięcy sklepów i prawie tyleż domów mieszkalnych, tylko czas pewien służy do życia, a większą część roku jest opustoszałe,

W 1868 r., podczas jasnej nocy styczniowej,

ujrzałem to miasto po raz pierwszy i wywarło ono na mnie więcej jeszcze, niż później, wrażenie rozpaczliwego osamotnienia. Białe światło księżycowe padało na pokryte śniegiem ulice, mury i kopuły katedry. Nawiane przez wiatr kupy śniegu przed zamkniętymi drzwiami i na dachach, iskrzyły się i błyszczały; wydawało się, jakby to miasto, opuszczone przez ludzi, objęły w posiadanie duchy strefy północnej.

W porze jarmarkowej, w jesieni w 1870 roku, widziałem to miasto znowu i zaledwie je poznałem. Na rzece wznosił się cały las masztów. Ostry świst parostatków przenikał w krótkich przerwach zapyłoną, duszną atmosferę. Na pobrzeżu i w składach leżały zapasy towarów wartości 125 milionów rubli. Mosty na łodziach, prowadzące na stare miasto, przebywało dziennie 60,000 ludzi. Na ulicy głównej przed domem gubernatora, dawały się słyszeć dźwięki orkiestry, wygrywającej wyjątki z operetek Offenbacha. Na wszystkich ulicach, jak z długiego snu przebudzonych, tłoczyły się gwarne i ruchliwe tłumy.

I teraz, gdy znowu miasto to stanęło mi przed oczyma, ujrzałem je również cichem i osamotnionem, jak podczas pierwszego mego w niem pobytu. Tylko dawały się w niem zauważyć pewne zmiany korzystne. Wzamian licznych budowli drewnianych, wznosiły się masywne gmachy murowane, ilość sklepów zwiększyła się, ulice wybrukowano na nowo i na końcu półwyspu wzniesiono najcelniejszą budowlę miasta, katedrę Aleksandro-Nowską.

Sądono, że jarmark niżnie-nowgorodzki wsku-

tek rozszerzenia sieci kolejowej rosyjskiej straci na znaczeniu, nie przyszło jednak do tego. Przeciwnie! Wartość towarów, przywiezionych tu na jarmark od 1868 do 1881 r. wzrosła ze 120 do 246 milionów rubli, a ilość sklepów z 5738 do 6298. Obrót towarowy ma dochodzić czasem w ciągu dwóch miesięcy jarmarku sumy 225 milionów rubli, a ilość sklepów przenosi 7,000. Stacja kolejowa linii Moskwa-Niżnij-Nowgorod znajduje się w dzielnicy handlowej, na lewym brzegu Oki; do komunikacji ze starym miastem w lecie służą łódki parowe i wspomniany już most na łodziach. Podczas naszego pobytu most nie został jeszcze urządzony i posługiwaliśmy się łodziami.

Ufortyfikowane stare miasto przedstawia nader malowniczy widok. Spadzisty brzeg, na którym leży, wznosi się prawie bezpośrednio nad wodą; wyżłobione w nim ulice przerywają w kilku miejscach wąskie tarasy, z których wśród zieleni drzew wybiegają ku górze białe mury i kopuły złożone cerkwi i klasztorów.

Błyszczące wszystkimi kolorami kopuły, soczysta zieleń, która w wielu miejscach sięga aż do powierzchni wody, jaskrawo pomalowane statki;— wszystko to razem wzięte przedstawia w jasnych promieniach słońca czerwonego obraz, który nie posiada sobie równego w Rosyi północnej. Od strony Wołgi, ku końcowi półwyspu, znajduje się „Kreml,” cytadel miasta, której wysokie, pokryte cynkiem mury wznoszą się tarasami i której okrągłe baszty i sklepione bramy przypominają żywo widzowi dawno ubiegłe czasy. Przed trzystu pięćdziesięciu la-

ty uchodziła ta twierdza za niezdobytą, przez całe stulecie służyła ona dla mieszkańców za miejsce schronienia podczas napadów hord tatarskich Kazania. Gdy w wieku 16-tym udało się chanat tatarski całkowicie podbić, twierdza straciła swoje znaczenie i stopniowo przysła do upadku. Jej trzynaście wież, które niegdyś miały wysokości około stu stóp, przedstawiają obecnie ruiny i obejmujące kilometr długości mury zniknęłyby już dotychczas prawdopodobnie, gdyby nie były zbudowane wyjątkowo masywnie i trwale. Robią one wrażenie, jakby były jeszcze mocniejsze, niż mury słynnego Kremlu w Moskwie.

Po wylądowaniu udaliśmy się do hotelu, znajdującego się w górnej części starego miasta, zajęliśmy pokój, posłaliśmy nasze paszporty do policyi i poszliśmy na przechadzkę wzdłuż Kremlu ku brzegowi. Między wzgórzem na którym leżą stare miasto i Kreml i rzeką znajduje się wązki skrawek łądu, który poświęcony jest handlowi i nazywa się „niższym bazarem.“ Stanowiąc pstrą mieszaninę wznoszą się tu liczne budowle o wielce urozmaiconym zewnętrznym wyglądzie. Obok eleganckich, nowoczesnych magazynów ze zwierciadlanymi szymbami i wyłożonemi szyldami stoją ubogie, drewniane chaty; banki, hotele, agentury żeglugi przeplatają budy z tandetą. Niespodzianie wynurza się z pośród nich nagle przed oczyma fantastycznie pomalowana cerkiew, pochodząca z zamierzchłych stuleci. Całe porzecze aż do wyniosłości zapełniają sklepy wszelkiego rodzaju, gdzie wystawiono na sprzedaż wszystko, o czem tylko pomyśleć można:

szpilki do włosów i grzebienie drewniane, grzyby suszone i kotwice okrętowe, dzwony cerkiewne i maszyny parowe. W jednym magazynie na „niższym bazarze“ widziałem wystawione na sprzedaż następujące przedmioty: garnitur mebli, dwa wózki dla dzieci, jeden stółek dziecinny, kołyskę, maszynę parową, rogi losie, trzy stare kotły do gotowania wody, kilka teleskopów, krzyż cerkiewny wysoki na cztery stopy, sześć albo osiem zegarów, część powozu, lornetki teatralne, ławki do heblowania, kowadła, stare buty, kindżał kaukazki, dyby drewniane, dzwonki do sanek, korkociągi, kosy, gumowe węże, uprząż, szable, rękojeście do siekier, poduszki powozowe, połączone naramienniki, obręcze, kuter, akordion, dwie albo trzy wazy do zupy, napełnione zardzewiałymi goździami i szrubami, noże, laski, zawiasy od drzwi, rewolwer, broń palna, używane rury do pieców, skrzynia z sucharkami i wanna. Wyżej wymienione przedmioty stanowią ledwie trzecią część tych, jakie się tam znajdowały, do dokładnego zauważenia wszystkiego brakło mi czasu. Sklep ten był typowym na całym „niższym bazarze,“ gdzie nie tak nie uderza, jak różnorodność budowli, mieszkańców i rodzajów handlu. Wzdłuż całego pobrzeża ciągną się pomosty wylądunkowe i stoją parostatki; ludzie ze wszystkich stron państwa tłoczą się tu, porwani prądem gorączki handlowej. Co godzina prawie odbijają od brzegu parowce, udając się w dół Wołgi, ku granicy syberyjskiej lub też ku morzu Kaspijskiemu; wielkie barki czarne ładują lub wyladowują robotnicy Tatarzy; małe jednokonne drewniane „telegi“ — wyglądają one

jak półbeczulki osadzone na czterech kołach — wywożą wyładowane towary; szeroką, pełną kurzu ulicę zapełnia przez dzień cały ruchliwy tłum kupców, chłopów, pielgrzymów, żebraków, włóczęgów.

Nawet dzieci porywa gorączka handlowa, która ogarnia całe miasto. Gdy z brzegu przypatrywałem się temu handlowemu ruchowi zauważyłem dziewięcioletniego może, odzianego w lachmany chłopca, którego cały zapas towaru stanowiło parę sznurów grzybów suszonych; z całą pewnością siebie doświadczonego handlarza, przeciskał się on wśród tłumu i wołał piskliwym głosikiem dziecinnym: „Grzyby, dobre grzyby! Kupujcie moje grzyby! Popierajcie, panowie, handel!”

Różnorodność typów ludowych jest, być może, w czerwcu nie tak wielka, jak podczas jarmarku wrzesniowego, ale właściwości ubiorów czynią wtedy prawie każdą postać wśród tłumu interesującą dla obcego widza. Tu ogorzały Tatar w okrągłej krymee na głowie i długim chałacie; tam właścianin rosyjski w zatluszczonym kożuszk, w niezgrabnym splecionem z łyka obuwiu i w grube płótno owiniętymi nogami, obwiązanemi sznurami; mnichy, o podejrzanym wyglądzie z długimi brodami i włosami, żebrzą o łaskawe datki na szpitale i cerkwie. Przyjmują oni drobne ofiary, podsuwając deseczki, obciążone czarnym aksamitem i rzucają je potem do cynowych puszek, opatrzonych w kłódki i wiszących im na szyi. Tu znów roznosiciele, którzy zachwalają swój „kwas,” sorbet, miód lub inne napoje, ponętnie błyszczące w naczyniach; tam znów inni na rozmaite tony głosu wywołują zalety swych

towarów: fałszywej biżuteryi, ogórków kwaszonych, grzybów, chustek bawełnianych do nosa z mapami Rosyi, i najrozmaitszych innych przedmiotów. Wreszcie faluje tu na wszystkie strony tłum wszelkiego rodzaju wielkich i drobnych kupców z całego szerokiego porzeczka Wołgi.

Co szczególnie uderza podróżnika w południowo-wschodniej Rosyi zaraz na wstępie, to wszędzie widniejący ożywiony ruch handlowy, który wykazuje niewyczerpane środki kraju. Amerykanin przedstawia sobie południowo-wschodnią Rosyę, jak jedno pastwisko lub pole orne, które zaspakają potrzeby rzadko rozsianego, o niskiej kulturze zaludnienia, ale co się tyczy ruchu handlowego to sądzi, że kraj ten nie może się porównać z najwięcej zacofanym stanem Unii. Zdumienie jego byłoby nie małe, gdyby ujrzał tu w Niższym Nowgorodzie rzekę, pokrytą statkami na przestrzeni często od sześciu do ośmiu mil (ang.) i gdyby się dowiedział, że regulowanie stosunków komunikacyi wodnej podlega specjalnemu sądowi żeglugi, że przystań wyladunkowa poddana jest władzy mianowanego przez ministerjum handlu wyższego urzędnika, któremu dodano do pomocy znaczną liczbę podwładnych funkcyjaryuszy; gdyby się dowiedział, że komunikacya parostatkowa na Woldze i jej dopływach jest jeszcze znaczniejszą, niż na Mississipi, że wartość transportów handlowych, które przewożą po jednym tylko dopływie, po Kamie, dosięga rocznie 15 milionów dolarów, że wreszcie wody Wołgi unoszą rocznie na 7000 statków 5 milionów tonn ładunku, przy czem znajduje zajęcie 200.000 flisaków. Wykształ-

cony jaki Amerykanin może i wiedział o tem wszystkim, ale dla mnie było to nowością i odkrycie tego olbrzymiego ruchu wprawilo mnie tem niemniej w zdumienie.

Obejrzawszy, o ile czas krótki pozwolił, wszystko, godniejsze uwagi, weszliśmy w dniu 6 czerwca na parostatek, aby przejechać na nim 1600 kilometrów Wołgą i Kamą do Permu.

Twierdzono, że Egipt był dziełem Nilu. W innym znaczeniu, ale nie znacznej do tego podstawy, pozwałam sobie powiedzieć, że Rosya Wschodnia jest dziełem Wołgi. Ona to głównie wpłynęła na ułożenie się stosunków etnologicznych ludności; z nią jest związana w ciągu więcej niż jednego stulecia historia kraju; ona to oddziaływała silnie na charakter i działalność plemion nadbrzeżnych i jeszcze dzisiaj zależne są od niej dobrobyt i dola więcej niż 10 milionów ludzi. Przedewszystkiem Wołga jest jedną z największych rzek świata. Długość jej od płaskowzgórza Wałdajskiego do morza Kaspijskiego, wynosi około 3700 kilometrów, szerokość powyżej Carycyna, dosięga podczas rozlewu, przeszło 48 kilometrów, tak, iż żeglarz, który ją przebywa w tej porze nie widzi niższego jej brzegu i wydaje mu się, jakby się znajdował na otwartym morzu. Omywa ona dziewięć prowincyi państwa i na jej brzegach leży 39 miast i przeszło 1000 wsi i kolonij.

Najważniejszą częścią rzeki jest przestrzeń między Niżnym Nowgorodem i ujściem Kamy; na tej przestrzeni kursuje podczas żeglugi 450 parostatków.

Aż do zakrętu pod Samarą wrze wszędzie na rzece ruchliwe życie; parostatki, barki i wielkie łodzie, naładowane towarami z Rosyi Wschodniej, Syberyi i Azji Środkowej, pokrywają jej powierzchnię. Już produkty z porzecza Wołgi przedstawiają wielkie znaczenie.

Niejedna miejscowość, gdzie kwitnie w okolicy gospodarstwo rolne, jak np. Liskowo, około której przepływa każdy parostatek między Niżnym-Nowgorodem i Kazaniem i która z oddalenia wygląda jak nieznaczna grupa zabudowań drewnianych, wysyła sama rocznie do 700 statków ze zbożem.

Scenerya górnej Wołgi jest więcej malownicza i urozmaicona, niż należałoby oczekiwać od rzeki, która przepływa przez jednostajną równinę.

Brzeg lewy nie przedstawia nic interesującego; ale brzeg prawy wznosi się bezpośrednio nad rzeką do wysokości 4—500 stóp i wkracza tu i owdzie w koryto rzeki, pagórkowatemi pasmami ładu, oddzielającemi od głównego prądu szereg połączonych ze sobą jezior, w których spokojnej wodzie odbija się ciemna zieleń starych lasów i śmiałe zarysy linii wysokich brzegów. Tu i owdzie ukazują się na pagórkach jasne mury i błyszczące kopuły jakiejś cerkwi, okolonej małą wioską; widnieją chaty drewniane z kunsztownie wycinanemi i jaskrawo pomalowanemi szczytami. Głębokie doliny, zarośnięte leszczyną, przecinają w niektórych miejscach wyniosłości nadbrzeżne i odkrywają widok na leżące w dali żyzne pola. Tu i owdzie ukazuje się również samotny klasztor,

przytulony w połowie wysokości do wzgórza, które stacza się ku rzece masą gęstej zieleni.

Od czasu do czasu płynie statek środkiem szerokiego prądu i malowniczy brzeg prawy, przewija się na widnokregu, obejmującym mil dziesięć, jak wspaniała panorama. By ominąć ławicę piaszczystą, skręca statek nagle ku brzegowi i obręb widzenia zwięża się i ogranicza do obrazu ładnej wioski rosyjskiej, która sprawia wrażenie dekoracji teatralnej.

Miejscowość leży tak blisko, że można rozróżnić rysy twarzy śmiejących się dziewcząt włościańskich, które przepływający statek witają powiewaniem chustek, albo można z pokładu, nie naprężając zbytnio głosu przemówić do spoczywającego wygodnie na murawie przed cerkwią „muzika,” ubranego w czerwoną koszulę i czarne aksamitne spodnie. Ale trwa to niedługo! Zaledwie miało się czas zauważyć wszystkie szczegóły tego krajobrazu rosyjskiego, już zniknął on z przed oczu. Statek wpływa już w inny zakręt rzeki, gdzie nie widać ani śladu istoty ludzkiej, gdzie z prawej strony wznosi się brzeg wysoki, a po lewej rozciąga gęsty o pierwotnej prawie dzikości las.

Porwani malowniczą pięknnością majestatycznej rzeki, ciągłą zmianą jej sceneryi, opuściliśmy pokład dopiero wtedy, gdy zapadła ciemność zupełna. Świeże powietrze napelniały wonie, płynące z łąk kwiatnych i wilgotnych dolin leśnych. Jak stal błyszcząca powierzchnia rzeki rozpościerała się przed nami między dwoma brzegami.

Głęboką ciemność, rozpierzchłe promienie czy-

nily jeszcze wydatniejszą. Z oddali dochodziły do uszu naszych słabe dźwięki ulubionej pieśni tliśników rosyjskich: „W dół, po matuszce, po Woldze.”

Wypiliśmy przy znajdującym się w pośrodku małej, wygodnej kajuty kilka kubków aromatycznej herbaty, rozpakowaliśmy potem nasze kołdry i poduszki i rozłożyliśmy się wygodnie, na wzór podróżujących Rosyan, na długich skórą pokrytych ławkach, które zajmują na parostatkach rosyjskich większą część podłogi i nadają kajutom pewne podobieństwo do wagonów kolejowych.

Około 5-tej rano zbudził mnie przenikliwy ton świstawki parowej. Maszynę zatrzymano, wyrzucono z hałasem pomost i nad moją głową rozległy się odgłosy bieganiny. Domyśliłem się, że przyjechaliśmy do Kazania i wyszedłem na pokład. Słońce już od godziny wzeszło, jak skrzące się srebro ciągnęło się pasmo wody między naszym statkiem i ciemną zielenią roślinności, pokrywającej brzeg zachodni.

Przy brzegu wschodnim widniały czarne kadłuby okrętowe, z żółtymi dachami, jakie spotykają się wszędzie wzdłuż rzeki, a przy nich kilka parowców stało na kotwicach, wydając od czasu do czasu głośnie gwizdanie, nad nimi powiewały w świeżem, rannem powietrzu flagi. Dalej widać było kilka budynków drewnianych, pstro pomalowanych zabudowań amerykańskiej osady górniczej. Bezpośrednio, na planie najbliższym, nie było żadnego więcej budynku, ale w oddali dostrzegłem mury, wieże, kopuły i minarety, które przypomniały mi obrazek, jaki kiedyś widziałem w dzieciństwie,

z podpisem: „Miasto próżności” w wydaniu ilustrowanem „Pielgrzymki” Bunyan’a.

Było to starożytne miasto tatarskie Kazań.

Przed wiekami, wyniosłość, na której wznosi się Kreml kazański, opływała Wołga, obecnie jednak leży on, wskutek zmiany łożyska rzeki, w oddaleniu kilku kilometrów od niej. Skąpy widok na miasto, jaki się rozpościerał z pokładu statku, podniecił fantazyę, obudził ciekawość, ale jej nie zaspokoił.

Przyglądałem się podczas postoju parostatku wyżej wspomnianym budowlom przy brzegu: były to domy czekoladowej barwy z żółtymi okiennicami i zielonym dachem, zielonawej z błyszczącym dachem z blachy, purpurowej ze szmaragdowo-zielonym pokryciem, pomarańczowej z oliwkowo-zielonym, ciemnoniebieskiej, jasnoniebieskiej, czerwonej, zielonej, żółtej i t. d. Jedna obszerna budowla o trzech piętrach przedstawiała mieszaninę wszelkich możliwych kolorów.

Jakie działanie na nerwy wzroku mieszkańców wywiera taka pstrokaczna barw, nie mogę powiedzieć, ale nie dziwię się już więcej, że rosyjskie „prekrasnyj” znaczy „piękny” a także „piękny czerwony,” jak również, że poeta rosyjski uważa, że ładnej dziewczynie szczególnie mówi komplement, gdy ją nazywa „krasnaja dziewica” (czerwona dziewczyna). Gdy sobie przypominam miejsce wylądowania pod Kazaniem, dziwi mnie tylko, że język rosyjski nie wytworzył więcej jeszcze słów, określających piękność za pośrednictwem barwy.

O siódmej przybyli w pojazdach i dorożkach pasażerowie z Kazania. O ósmej wszyscy znaleźli

się na pokładzie, dano znak do odjazdu, odwiązano linę i ruszyliśmy znowu w drogę.

Był to poranek niedzielny. Mieliśmy jasną, ciepłą pogodę i przepędzaliśmy czas przeważnie na pokładzie, ciesząc się promieniami słońca i świeżym powiewem, jaki spowodował łagodny ruch statku, oraz wciągając wonie, jakie płynęły do nas z lesistych pagórków lewego brzegu. Robiliśmy rysunki i szkicowaliśmy oryginalne kształty barek i łodzi, które spotykaliśmy po drodze i które jedynie przypominałyby tu nam o tem, że Wołga jest rzeką rosyjską, nawet, gdybyśmy nie przyglądali się jej brzegom.

Pierwszy ukazał się olbrzymi holownik, który ciągnął za sobą pod prąd kilka wielkich barek czarnych; podobne one były do pozbawionych omasztowania okrętów morskich. Potem przepłynęła koło nas szczególna barka holownicza z wysokim kabłąkiem i sterem. W pośrodku statku znajduje się blok z nawiniętą liną, która odwija się wolno a ludzie z załogi ciągną ją na przedzie i przerzucają w odpowiedni sposób, nadając ruch statkowi. Wreszcie przeszła olbrzymia tratwa, mająca 500 stóp długości i 100 szerokości; znajdowała się na niej mała wioska rosyjska; chaty wiejskie drewniane ze szczytami z desek wycinanych w desenie piłką. Wioska przeznaczona była na sprzedaż w okolicach, ubogich w materyał budowlany, położony nad dolną Wołgą i morzem Kaspijskiem.

Mieszkańcy tej płynącej wioski siedzieli na tratwie z gołemi głowami, w czerwonych koszulach i błękitnych odzieniach, naokoło gorejącego ogniska,

rozłożonego u końca tratwy i popijali herbatę. Wydało mi się, jakbym ujrzał wioskę, uniesioną przez wody podczas wylewu rzeki i płynącą z prądem wraz z całą ludnością swoją.

Z prawego brzegu rzeki dochodziły do nas oddalone dźwięki dzwonów cerkiewnych; od czasu do czasu mijaly nas sześciowiosłowe łódki, pełne mężczyzn i kobiet w pstrych strojach odświętnych, śpieszących na nabożeństwo niedzielne.

O godzinie 11-tej porzuciliśmy szeroką, majestatyczną Wołgę i wpłynęliśmy na ponure, rwące wody Kamy, która, od źródeł swych na granicy syberyjskiej, kieruje się na południo-zachód i na 80 kilometrów poniżej Kazania wpada do Wołgi. Nie tylko miejscowość i ludzie, statki i miejsca wylądowania, ale sam krajobraz nawet przybrały wygląd odmienny; ostatni nosił cechy jakiejś pierwotnej dzikości i bezludności. Pobrzeże jest mniej zaludnione, o wiele więcej lesiste, niż pobrzeże Wołgi; nie widać tu było białych murów klasztorów, które zdobiły krajobraz malowniczo między Niższym Nowgorodem i Kazaniem; statki miały kształty nader pierwotne mimo ich drewnianych baryer i masztów, pomalowanych w spiralne pasy na czerwono i niebiesko, ze złożonemi wierzchołkami. Włościanie, którzy gromadzili się w miejscach lądowania, nosili odzież, której krój oryginalny i pstre barwy wykazywały dostatecznie, że kultura Zachodu wywierała tu wpływ nader nieznaczny. Ludzie ubrani byli w swe szaty odświętne, co mogło tłómaczyć do pewnego stopnia ten nadmiar szczególny kolorów w ich ubraniu, nie widzieliśmy jednak nigdzie indziej

w Rosyi młodzieńców w takich niebieskich, purpurowych, fioletowych koszulach, ani dziewcząt w spódnicach cytrynowej barwy, szkarłatnych zapaskach, różowych kaftanach i liliowych chustkach na głowach.

Nasza podróż czterodniowa po Kamie nie przedstawiała nic godniejszego uwagi, ale należała ona do weale przyjemnych.

Pogoda była piękna, krajobraz pociągający, czasem nawet dziko romantyczny. Drzewa, które okalały spadzisty brzeg, cieszyły wzrok wspaniałą, świeżą zielenią wiosenną i w wielu miejscach wyciągały swe konary tak daleko nad powierzchnią wody, że omal nie dotykały statku. Łąki i polanki leśne, w pobliżu których przepływał nasz statek były jakby usiane niezapominajkami i stokrotkami. Gdzie tylko zatrzymywał się parostatek, dzieci włościańskie ofiarowały na sprzedaż olbrzymie bukiety kwiecia majowego, mała nasza salka jadalna, pełna była ciągle woni wiosennych, przesycających powietrze. Nic nie zwiastowało bliskości Syberyi. Ciepła, jasna pogoda przypominała raczej klimat Kalifornii; po zachodzie słońca słyszeliśmy nawet śpiew słowika. Wtedy, gdy była cisza w powietrzu niektórzy współtowarzysze podróży kazali wynosić na pokład samowar, przy którym pijąc herbatę i paląc papierosy przesiadywali do późna, prawie do świtu, pojąc się wonnem powietrzem nocnem, aż poczynął blednąć oryginalny blask zorzy północnej po nad pagórkami. Tyle nam sprawiała przyjemności nasza podróż po Kamie, że prawie niechętnie pożegnaliśmy się z naszym małym parosta-

tkiem „Aleksandrem” po przybyciu do Permu, w środę, dnia 10 czerwca.

Perm jest głównem miastem prowincyi tegoż nazwiska, ma 32,000 mieszkańców i leży na lewym brzegu Kamy w odległości około 190 kilometrów od granicy Rosyi azyatyckiej. Jest on zachodnią stacją krańcową kolei żelaznej uralskiej i punktem tranzytowym całego, dość znacznego, handlu z Syberyą. Nie różni się wybitnie pod względem zewnętrznym od innych miast rosyjskich prowincjonalnych podobnej wielkości i chociaż robi wrażenie schludniejszego i sympatyczniejszego, niż Niższy Nowgoród siedliska, przedstawia się jednak ze strony budownictwa i położenia daleko mniej okazańie, niż tamto miasto.

Przenocowaliśmy tylko w Permie, mieliśmy tu jednak już pierwsze zajście z policją rosyjską. I chociaż to zajście było zbyt drobne, opowiem je przecież, gdyż dowodzi ono, na co się naraża podróżujący po Syberyi i jak wielką jest władza policyi, jak może ona każdego zaaresztować i poddać badaniu. Po przyjeździe powzięliśmy zamiar udać się na wzgórze, leżące od wschodniej strony, aby ztamtąd zrobić szkic miasta.

Droga nasza przypadkowo wypadła około gmachu więzienia i ponieważ było ono pierwszym, jakie napotkaliśmy w drodze na Syberję, przypatrzyliśmy się mu przez chwilę z zainteresowaniem. Udaliśmy się następnie w dalszą drogę i przekonaliśmy się wkrótce, że owo wzgórze było więcej oddalone, niż nam się zdawało i że czas był już spóźniony, wobec czego postanowiliśmy odłożyć wycie-

czkę na dzień następny. Zawrócilismy więc i przechodziliśmy powtórnie obok więzienia.

Następnego dnia wykonaliśmy nasz zamiar. Mój towarzysz, p. Frost, naszkicował miasto i udaliśmy się w drogę powrotną. Gdyśmy przebywali obszerną łąkę, podjechały ku nam dwie dorożki, w których siedziało czterech oficerów w pełnych mundurach i uzbrojonych. Spostrzegłem zaraz, że dwaj z nich w pierwszej dorożce przypatrywali się nam ze szczególną uwagą, ale ponieważ nie znane mi były z dokładnością uniformy rosyjskie, nie wiedziałem więc, że byli to przedstawiciele policji. Pierwsza dorożka minęła nas, druga zatrzymała się przed nami, obaj oficerowie wysiedli i podeszli z dwóch stron ku nam. Zauważyłem także, obejrzawszy się za siebie, że pierwsi również opuścili swój pojazd i tak samo zbliżali się ku nam. Wtedy dopiero przyszło mi do głowy, że to zapewne czterej urzędnicy policyjni, którym na jakiejś podstawie wydaliśmy się podejrzanymi i którzy chcą nas aresztować.

Otoczyli nas, a jeden skierował do nas w grzecznej formie zapytanie, cośmy za jedni.

— Jesteśmy podróżnikami amerykańskimi.

— Kiedy panowie tu przybyli?

— Wczoraj.

— Zkąd panowie przybywają?

— Z Niżnego Nowgorodu.

— Dokąd się panowie udają?

— Na Syberyę.

— Hm, na Syberyę! Czy mogę zapytać w jakim celu?

— Podróżujemy, aby podróżować.

— Nie odbywa się podróży dla przyjemności na Syberyę—zauważył z lekkim odcieniem ironii.— Podróż panów zatem musi mieć jakiś cel określony. Jakiż jest ten cel?

— My, Amerykanie, podróżujemy wszędzie i cel nasz jest co najwyżej poznać kraj i ludzi.

Odpowiedź moja nie zdawała się go zadawał-
niać. Ciągnął dalej badanie, aby wśród mnóstwa udzielonych odpowiedzi coś wysłedzić, co mogłoby podejrzenia usprawiedliwić. Pytał więc dalej:

— Przechodziliście panowie wczoraj koło więzienia?

— Tak.

— Dlaczego?

Wyjaśniłem mu powód.

— Przyglądaliście się bardzo uważnie.

Potwierdzenie.

— Dlaczego tak było?

Jeszcze raz wyjaśniłem mu powód.

— Panowie jednak nie udaliście się na wzgórze, lecz przeszliście jeszcze raz koło więzienia i, powracając, znowu przyglądaliście się mu uważnie. Dlaczego?

Nie mogłem się powstrzymać, aby mu się w twarz nie roześmiać. Oficerom przecież policyjnym rzecz wcale się nie wydawała komiczną. Powtórzyłem więc moje wyjaśnienia. Wcale ich to jednak nie zadowoliło i suchym tonem zażądali, od nas paszportów.

Zaznaczyłem, że paszporty zostały w hotelu, na co nam oświadczone, że jesteśmy aresztowani; aż

do sprawdzenia tożsamości naszych osób i dostatecznego uzasadnienia naszego pobytu w Permie.

Mój towarzysz musiał się w asystencyi oficera do jednej dorożki, ja zaś pod strażą drugiego z siwą brodą—w którym domyślałem się naczelnika policji—do drugiej i pojechaliśmy do hotelu. Wzięli nas zapewne za politycznych spiskowców, którzy zamierzali uwolnić z więzienia swego współnika. Gdy urzędnicy policji poczęli badać nasze papiery zaproponowałem im herbatę i papierosy. Nasz inkwizent spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby miał przed sobą jakiego nieznanego dotąd gatunku zwierza, od którego można się spodziewać wszystkiego złego.

Nasze paszporty nie wydały im się, zupełnie w porządku, gdym jednak przedstawił im list polecający ministra, cały żart ten zakończył się w jednej chwili. Młody oficer po przeczytaniu już pierwszych wierszy listu zarumienił się i szepnął coś staremu, poczem podszedł do mnie i usprawiedliwiał się z pewnem pomieszaniem z powodu nieprzyjemnego nieporozumienia. Dowiedzieliśmy się wtedy, że wzięto nas za dwóch niebezpiecznych przestępców niemieckich, na których ślady, jak im się zdawało, wpadli. Na znak zgody prosili o pozwolenie uściśnienia nam dłoni i pożegnali nas z niezmierną uprzejmością.

Przygoda ta zainteresowała mnie, jako charakteryzująca metodę postępowania policji rosyjskiej, ale zaniepokoiła mnie co do przyszłości. Jeżeli już po tej stronie granicy syberyjskiej byliśmy zaareztowani z powodu tylko obejrzenia z zewnątrz wię-

zienia, to co może nam się wydarzyć, jeśli do naszych badań przystąpimy poważnie!

W czwartek 11 czerwca o 9 i pół wieczorem wyjechaliśmy z Permu koleją żelazną do Ekaterynburga. Zmęczeni wrażeniami dnia poprzedniego spaliśmy w drodze i obudziłem się dopiero około ósmej nazajtrrz, w chwili, gdy pociąg stanął na stacyi Bizer.

Na jasnym błękitie nieba świeciło słońce w całej wspaniałości; powietrze napelniała przyjemna woń kwiatów i jodeł górskich; z poblizkiego gaiku brzoźowego dawało się słyszeć kukanie kukulki.

Mój towarzysz nie mógł wytrzymać, aby nie zająć się botaniką, i zaczął zrywać wzdłuż toru rosące różyczki alpejskie, mlecz i fijołki.

Wróciliśmy do wagonu i ruszyliśmy dalej przecinając pagórkowatą lesistą miejscowość, jadąc całemi godzinami przez gęste zagajniki i nie widząc naokoło nawet śladu istnienia ludzi. Przejeżdżaliśmy czasem koło pokładów, z których mężczyźni i kobiety wyplukiwali piasek złoty, to znowu koło wspaniałych polan leśnych, pokrytych rzadką trawą, pośród których wznosiły się tu i owdzie brzozy srebrzyste. Wszędzie cieszyła wzrok obfitość kwiecia, przyroda ukazywała się nam w najpiękniejszym swym stroju letnim.

Byliśmy zdumieni, że w tej oddalonej okolicy górskiej, na krańcu najdalszym Rosyi europejskiej, znaleźliśmy tak doskonale i zbytkownie urządzoną kolej żelazną. Budynki stacyjne były najlepsze ze wszystkich, jakie widzieliśmy w Rosyi. Nasyp kolejowy zbudowany był solidnie, wagony

mogły wytrzymać porównanie z wagonami każdej innej linii, wszystko, co należy do kolei, było we wzorowym porządku. I otoczenie stacyi wykazywało troskliwość o wygodę i upiększenie, nawet słupy przydrożne wskazywały odległość w ozdobnych, mozaikowych napisach, umieszczonych na mających w przecięciu do czterech stóp blokach.

W niższym Tagilu, który leży po azyatyckiej stronie Uralu, pociąg zatrzymał się pół godziny, które spędziliśmy przy obiedzie. Stacya ta czyniłaby zaszczyt każdej pierwszorzędnej kolei. Masywny, murowany budynek stacyjny, pomalowany był gustownie i pokryty blachą. Wdłuż długiego na 3—5 metrów frontu ciągnął się peron szerokości 7 metrów; a na końcu znajdował się ładny park z fontanną, sala jadalna miała dębową posadzkę, ściany były wyłożone do połowy wysokości drzewem, a w drugiej połowie pokryte tapetami, koloru drzewa, sufit ozdobiony sztukateriami. W pośrodku sali znajdował się długi stół, nakryty śnieżnym obrusem, z piękną porcelaną i przyborami stołowymi, z kryształowemi świecznikami, wytwornie szlifowanemi szklankami, kieliszkami i butlami; zdobiły stół bukiety świeżych kwiatów i rośliny doniczkowe, wreszcie znajdowało się tam także akwarium. Stół otaczały pięknie rzeźbione krzesła, kosztowny zegar w końcu sali wskazywał godziny, a w drugim końcu stał ozdobny piec, przeznaczony do ogrzewania sali podczas zimy. Kelnerzy usługiwali w pełnej toalecie, kucharze ubrani byli w czyste płócienne kostyумы białe i czworogranne, również białe, czapki na głowach. Nie nie przesadzam,

twierdząc, że była to najgustowniejsza obszerna sala jadalna, z pośród tych, jakie zdarzało mi się widzieć na liniach kolejowych. Gdym siedział przy obiedzie, złożonym z czterech dań, doskonale przyrządzonych, nie mogłem się pogodzić z myślą, że znajduję się w ustronnym okręgu górniczym Niższego-Tagilu, po azyatyckiej stronie Uralu. Ale był to na dłuższy czas ostatni etap komfortu i wygod cywilizacji, gdyż w ciągu naszej dalszej uciążliwej podróży nie mieliśmy już przed sobą żadnej linii kolejowej.

Dnia 22 czerwca, w piątek wieczorem, przybyliśmy do Ekaterynburga, miasta, położonego na wschodnim podgórzu Uralu, oddalonego o 230, mniej więcej, kilometrów od granicy syberyjskiej. Kolej z Tiumenia nie była jeszcze wtedy ukończona, byliśmy więc zmuszeni przejechać dalej końmi w ciągu sześciu miesięcy odległość około 13,000 kilometrów.

Istniała wtedy między wspomnianymi dwoma miastami specjalna komunikacja, która przewoziła podróżujących od jednego miasta do drugiego w ciągu 48 godzin. Przedsiębiorstwo to było w ręku towarzystwa, które wydawało bilety na przejazd końmi, zmienianymi co mil 18-cie. Podróż odbywała się na tak zwanych „tarantasach“, wehikuł ten przedstawiał wielkie, ciężkie, na czterech kołach, w formie łodzi, pudło, bez siedzenia; posiadał on skórzane nakrycie i takąż zasłonę, zabezpieczającą od wpływów nieprzyjaznej pogody. Pudło to spoczywało na dragach, przytwierdzonych do przedniej i tylnej osi i tworzących rodzaj resorów, które miały zmniejszać siłę wstrząśnień przy jeździe.

Podróżny kładzie zwykle swe bagaże na dno tego pojazdu, przykrywa je, czem może, i robi sobie z nich siedzenie, kładąc w tyle dla oparcia poduszki. Woźnica siedzi na kraju pojazdu, przed pasażerem i czterma lejcami kieruje trójką koni, zaprzęzonych rozbieżnie. W ten sposób przebywa się po dobrej drodze około 13 kilometrów na godzinę.

Wieczorem, 16 czerwca, po opuszczeniu przez nas toru kolejowego, wybraniu tarantasa i ulokowaniu na nim, jak można było dogodnie, naszych bagaży, wgramoliliśmy się do pojazdu, zasiedli na wielkiej walizie mistra Frosta i dali znak do ruszenia. Nasz brodaty woźnica ujął lejce, splecione ze starych postronków, zawołał na konie: „No, dziatki!“ i, przy miarowym, choć niezbyt harmonijnym, dźwięku wiszących przy hołobli nad koniem dyszlowym dzwonek, pojechaliśmy przez szerokie, niebrukowane ulice Ekaterynburga. Przejechaliśmy przez wielki plac, leżący przed koszarami, ozdobionymi dwoma przytwierdzonemi do filarów dwugłowemi orłami i dotarliśmy wkrótce do ponurego lasu iglastego. Znaleźliśmy się obecnie na wielkiej drodze syberyjskiej, która rozciąga się na przestrzeni 4800 kilometrów od gór Uralskich aż do ujść Amuru. Gdybyśmy byli zdania, że Syberya jest krajem bezpłodnym, to byśmy innego o tem nabrali pojęcia na widok licznych karawan z towarami, spotykanych po drodze od Ekaterynburga do granicy syberyjskiej. Te karawany, „obozy,“ są charakterystyczną właściwością okolicy, między górami Uralskimi i Tiumeniem. Składają się one z małych na czterech kołach wozów, bardzo pierwotnej budowy,

naładowanych produktami syberyjskimi, przykrytymi matami, przytwierdzonymi drewnianymi klamrami. Każdy koń uwiązany jest na długim postronku do poprzedzającego go wózka, tak, że „obóz“, złożony z takich 50—100 podwód, stanowi jedną, związaną w całość karawanę. W niespełna dwie godziny przeciągnęło 538 takich podwód koło nas, a w ciągu pierwszego dnia podróży naliczyłem ich 1445. Czy potrzeba jeszcze jakiego dowodu, że Syberya nie składa się jedynie ze stepów bezpłodnych! Z pustyni nie można byłoby dostarczać dziennie 1500 tonn towarów.

Gdy około północy robi się powoli całkiem ciemno, karawany te zatrzymują się na nocleg. Często widywaliśmy w dalszej drodze jak obozowały na skraju lasu, a woźnice rozkładali się w pobliżu naokoło roznieconego ogniska. Wyprężone konie, powiązane za nogi, szczypały tymczasem trawę, niezgrabnie się zataczając. Ponury las iglasty, na którego wierzchołkach błąka się jeszcze blady odbłask zorzy północnej, a od dołu barwi mu pnie drzew i konary, czerwonawe światło płonącego ogniska, kąpiące się w tejże czerwonawej barwie lub całkiem czarne zarysy wozów, obozujący naokoło ogniska, popijający herbatę ludzie w swoich szkarłatnych lub niebieskich koszulach—wszystko to razem składało się na równie oryginalny, jak i pociągający ku sobie obraz z życia prawdziwie rosyjskiego.

Jechaliśmy przez noc całą po niezłej drodze i zatrzymywaliśmy się tylko tam, gdzie była konieczna zmiana koni. Słońce, które zachodziło dopiero o w pół do 10-tej, wschodziło już o w pół do

3-ciej, tak iż ciemność ledwie dawała się zauważyć. Wsie, przez które przejeżdżaliśmy, były nieraz bardzo duże, ale zwykle składały się z dwu rzędów domów, zbudowanych z okrągłaków, zwróconych frontem do drogi. Domy otoczone były ogrodzeniami z chróstu, ale nigdzie nie dostrzegano się ani jednego drzewa, ani łodygi trawy. Jedna z tych wsi ze swemi dwoma rzędami domów, ciągnęła się około ośmiu kilometrów. Naokoło każdej wsi rozciągało się pastwisko, obejmujące od 80—200 hektarów, otoczone płotem chruścianym, na którego obu końcach znajdowały się wrota i chata stróża. Służbę tę spełnia zwykle jaki stary człowiek, nieraz jaki wykolejony osobnik; na Syberyi bywa nim jakiś zesłaniec. Obowiązkiem jego jest dozorować bydło i otwierać dla przejeżdżających wozów wrota, które zagradzają drogę. Za tę służbę otrzymuje on od gminy wiejskiej wynagrodzenie miesięczne w ilości trzech do czterech rubli. Mieszkają oni w nędznych z gliny i gałęzi skleconych chatkach, w których pali się ogień przez cały rok i które ciągle pełne są dymu.

W dniu, w którym wyjechaliśmy z Ekaterynburga, ujrzeliśmy po raz pierwszy dom etapowy dla zesłańców i spotkaliśmy także transport skazanych na zesłanie w drodze do Syberyi. Od czasu, gdy między Niższym Nowgorodem i Permem kursują regularnie parostatki i ukończono kolej uralską, zesłańcy ze wszystkich miejscowości, leżących na zachód od Uralu, z więzień etapowych z Moskwy, Niżnego Nowgorodu i Kazania, transportowani są drogą żelazną lub parostatkami do Ekaterynburga.

Po przebyciu jednak Uralu, dzielą ich na grupy i wysyłają piechotą do miejsc przeznaczenia w Syberyi zachodniej, dopuszczają się jednak wyjątki dla osób z „lepszego towarzystwa.” Chorych i osłabionych przewożą dalej na „telegach”, czyli na wozach nader pierwotnej konstrukcyi.

W drugim dniu po naszym odjeździe z Ekaterynburga, gdyśmy jechali przez przetrzebiony las między wsiami Markawa i Tugulinskaja, woźnica nasz zatrzymał nagle konie i rzekł: „Tu jest granica!”

Wysiedliśmy z tarantasa i ujrzeliśmy przy drodze zbudowany z cegły wysokości czterometrowej zaledwie, słup, na którym z jednej strony widniał herb prowincyi europejskiej Permu, a z drugiej prowincyi azyatyckiej Tobolska. Słup graniczny Syberyi!

Z żadnym punktem między Petersburgiem i Oceanem Spokojnym nie wiąże się tyle wspomnień bolesnych, co z tem miejscem. Przy tym, uświęconym przez cierpienie znaku granicznym pożegnało już na zawsze wielu mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, książąt i wieśniaków,—swych krewnych, przyjaciół, strony rodzinne, życie szczęśliwe. Żaden inny słup graniczny na świecie nie widział takiego nagromadzenia nędzy ludzkiej, tylu serc złamanych, które przeszły koło niego. Od roku 1878 przeciągnęło tędy 170.000 zesłańców, od początku naszego stulecia więcej niż pół miliona. Ten słup graniczny znajduje się na połowie drogi między ostatnią europejską i ostatnią syberyjską stacją. Jest we zwyczaju, że zezwalają tu zesłań-

com na krótki odpoczynek, który potrzebniejszy jest dla ich umysłów, niż dla ciała. Wieśniak rosyjski, choćby był nawet zbrodniarzem, czuje przywiązanie do swej ojczyzny. Odgrywają się tutaj sceny, rozdzierające serce: niektórzy oddają się całkiem rozpacz, inni usiłują pocieszyć łkających z bólu, inni znowu padają na kolana i przyciskają twarz do ziemi ukochanej ojczyzny, albo całują zwróconą ku Europie stronę zimnego kamienia, jakby tenże był wyobrażeniem wszystkiego, co muszą porzucić.

„Formujcie szeregi!” brzmi rozkaz podoficera; prowadzącego transport. Skazańcy podnoszą się, by spełnić rozkaz. „Naprzód, marsz!” Spiesznie kładą na piersiach znak krzyża i przechodzą, dzwoniąc kajdanami granicę Syberyi.

Do niedawnego czasu słup graniczny pokrywały krótkie napisy, słowa pożegnania i cyfry, ryto je lub kreślono w twardym cemencie. W czasie naszego tu pobytu cement podpadał prawie całkowicie; pozostały tylko słowa niektóre lub litery. W jednym miejscu znalazłem. „Bądź zdrowa, Maryo!” Jak drogiem musiało być to imię wygnane-
cowi, jeśli mu wypłynęło z duszy jak ostatnie pożegnanie! Musiała być dla niego ta „Marya” światem całym i, przeszedłszy granicę, musiał się z nim rozstać, być może, na zawsze.

Zerwaliśmy u stóp słupa granicznego kilka kwiatków, wsiedli do pojazdu i zawołali ku Europie „bądź zdrowa” jak tu wielu przed nami wołało, i pojechaliśmy dalej—do Syberyi.

Równiny i wzięcia w Syberji Zachodniej.

Po przebyciu granicy, znaleźliśmy się w tej części państwa rosyjskiego, której obszar i znaczenie zazwyczaj oceniane są za nisko. Większość mniema, że Syberya jest krajem północy, którego nieurodzajny grunt przez większą część roku śnieg i lód pokrywa. Sądzą, że nieznaczna ludność składa się głównie z zesłańców, do których doliczyc należy jeszcze nielicznych tuzimeców, żołnierzy i urzędników. Nader rzadko zdarza nam się usłyszeć odpowiadającą rzeczywistości opinię o tym kraju, który w pewnej mierze stanowi samodzielną część globu ziemskiego.

Syberya rozciąga się od południa na północ, od Siemireczenska aż do przylądka Czelińska, między 40,17 i 77,46 stopniami szerokości północnej i od Zachodu na Wschód, od gór Uralskich do cieśniny Behringa, między 90 i 190 stopniami długości.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Ala-

ska i wszystkie państwa europejskie z wyjątkiem Rosyi mogłyby się pomieścić na jej powierzchni i pozostałaby jeszcze znaczna przestrzeń pusta.

Kraj, posiadający rozległości dwanaście milionów kilometrów, wykazuje znaczne różnice w klimacie, topografii i wegetacyi. Spojrzenie na mapę naucza nas, że wielka część Syberyi zachodniej więcej jest posunięta ku południowi, niż Nizza, Wenecya i Medyolan, że granica południowa prowincyi siemireczeńskiej bliższą jest równika niż Neapol, że w 10 niektórych miejscowościach prowincyi Irkuckiej temperatura średnia w miesiącu styczniu wynosi 50 stopni Fahrenheitu, w Semipalatyńsku wykazuje ona w lipcu 82 stopnie; maksymalna temperatura do stu stopni w cieniu nie jest tu nawet wcale rzadkością. Wtedy gdy na półwyspie Taimura grunt w lecie odmarza zaledwie na kilka cali głębokości i wydaje tylko nędzne krzaczki i melhy, na zachodzie dojrzewają melony, rodzi się tytoń i zboże. Zbiory oceniają rocznie na 18¹/₂ miliona hektolitrow.

Zima syberyjska bywa zwykle we wszystkich częściach kraju bardzo surowa, lato przeciwnie jest bardzo gorące. W urodzajnej i dobrze uprawnej części południowej Syberyi, która rozciąga się w Azji środkowej wzdłuż Mongolii, znajduje się wiele miast, gdzie temperatura przeciętna w miesiącach letnich jest wyższą od londyńskiej; Irkuck ma o pięć stopni wyższą niż Dublin, Tobolsk o cztery stopnie wyższą, niż Londyn; Semipalatyńsk wykazuje tyle stopni, co Boston, a lato w Wiernem jest zupełnie tak gorące, jak w Chicago.

Ta łagodna temperatura jest największą niespodzianką dla podróżnych, przybywających na Syberję po raz pierwszy w lecie. Przygotowaliśmy się na to w ciągu naszej podróży w górę Kamy do pewnego stopnia, mimo to jednak, wszystko, cośmy po wstąpieniu na ziemię syberyjską ujrzeli i odczuli, wprawiło nas w najwyższe zdumienie. Nic nie przypominało nam w tej urodzajnej okolicy kraju, pokrytej obfitą roślinnością i kwiatami o strefie północnej. Gdybyśmy nagle zostali tu przeniesieni, nigdybyśmy nie odgadli, gdzie się znajdujemy. Niebo słoneczne, błękitne, drzewa w pełnym kwiecie, nad błoniami kwiecistymi ulatywały pszczoły i w gęstwinie liści dawało się słyszeć szczebiotanie ptaków; powietrze było przesycone wonią kwiatów, słońce świeciło wesoło—wszystko przedstawiało się tak, jak bywa w jakiegokolwiek błogosławionej miejscowości strefy umiarkowanej w Czerweu.

Między wsiami Czeremiskaja i Sugatskaja wjechaliśmy w przestrzeń urodzajną i dobrze uprawną. Znikły wielkie lasy, tu i owdzie tylko widniały gaje brzoźowe lub topolowe. Często spotykaliśmy pola orne i jak daleko wzrok sięgał, rozpościerały się łąki kwieciste, na których pasły się krowy i owce; mężczyźni i kobiety, w jaskrawej odzieży, zajęci byli robotami rolnymi i ożywiali sobą ten pełny uroku krajobraz. Potem znów wjechaliśmy do ciemnego lasu, z głębi którego słyszeć się dawało nawoływanie bojaźliwej kukulki, miękka murawę leśną zasiana była niezapominajkami, powietrze pełne było świergotania i śpiewu ptactwa. I wszędzie kwiaty i kwiaty! Step wydawał się szerokim mo-

rzem kwiatów; i aby obraz tym podobniejszy był do morza, ukazywały się w oddali obficie pokryte niezapominajkami niwy, niby cicha powierzchnia wody, w której odbija się błękit nieba.

Droga między Ekaterynburgiem i Tiumeniem okoloną była dwoma lub trzema gęstymi rzędami wysokich brzoź srebrno-złotych; rozłożyste ich gałęzie tworzyły jakby dach liściasty, przez który nie przenikały gorące promienie słońca. Jechaliśmy mil wiele pod tą naturalną arkadą, której kolumny stanowiły białe pnie drzew, a dach—gęstwina liści. Jak głosi podanie, drzewa te zasadzone zostały z rozkazu cesarzowej Katarzyny II i ta część drogi, którą one oceniają, zowie się „aleją Katarzyny!“ Może monarchini chciała przynieść przez te plantacye ulgę zesłanym podczas pochodu w lecie? albo może chciała, także w ten sposób już na wstępie wywrzeć pociągające wrażenie przesiedleńców do kraju, którym się żywo interesowała? Aleje te, corocznie, od stulecia, zakwitając na nowo, przypominają o niej wielu tysiącom, co je przebywają i korzystają z ochrony od żaru letniego.

Co zwłaszcza Amerykaninowi rzuca się w oczy to brak wszelkich ogrodzeń przy chatach wiejskich. Pola są pooddzielane jedne od drugich, ale można jechać całemi godzinami i nie ujrzeć żadnych ogrodzeń i podwórek przy chatach. Brak zupełny płotów, gdyż bydło pasie się tutaj na ogólnych pastwiskach gminnych, brak podwórzy—tłomaczą się tem, że właścianin nie jest tu właścicielem uprawianego przez siebie kawałka gruntu i dlatego nie czuje potrzeby dogodnego urządzenia się na nim.

Grunt jest tu prawie całkowicie własnością państwa; gminy wiejskie mają grunt tylko w użytkowaniu, ale nie mogą nim według swej woli rozporządzać i najmniejszej zeń części obracać na swą własność. Cała ich władza zasadza się tylko na tem, że dzielą co jakiś czas grunt orny pomiędzy swych członków dla użytkowania z tegoż; gdy część tych działków zmienia swych posiadaczy, następuje nowy podział, przy którym nie ma się żadnego względu na dotychczasowych użytkowników lub nakłady, jakie poczynili w gospodarstwie, i te są dla nich stracone. Podobnego systemu następstwem jest to, że każdy bierze pod uprawę tylko tyle gruntu, ile tegoż potrzebuje koniecznie i stąd rozległe obszary pozostają niezajęte.

Inną, rzucającą się w oczy właściwością, jest ubóstwo i niedbalstwo wieśniaka zachodnio-syberyjskie, mimo że kraj posiada dużo bogatych naturalnych zasobów i źródeł wytwórczości. Wieś składa się tu z dwóch rzędów najprostszych, parterowych chałup, z okrągłaków z frontami, zwróconemi ku drodze, nie mającemi jednak od przodu ani drzwi, ani podwórza. Między każdymi dwiema chatami znajduje się podwórko ze spichrzem i stodołą; od tej strony znajdują się także drzwi wejściowe. Ściany frontowe i szczyty chaty zdobi snycerszczyzna, okiennice pomalowane są jaskrawo. Ale, pominawszy to, wszystko jest nader pierwotnej roboty i w znacznej części chaty drewniane są stare i chylące się do upadku.

Szeroka ulica między niemi nie posiada żadnych chodników i przemienia się podczas deszczów,

trwających dłużej, w morza błota. W całej wsi nie ma żadnego drzewa, krzewu, żadnego trawnika. Swinie z krótką szerszą tarzają się w kałużach lub przebiegają ulicę, szukając pokarmu. Cała wieś razi ubóstwem i niechlujstwem. Nieraz przecież pod tymi pozorami kryje się pewien dobrobyt. Do ochędóstwa i upiększenia zdaje się włościanin syberyjski nie przywiązywać żadnej wagi, również brak mu zupełnie zmysłu społecznego i ducha przedsiębiorczości. Dopóki zło jest do pewnego stopnia możliwe do zniesienia, nikomu nie przychodzi do głowy, by zaprowadzić jakiegoś ulepszenia. Wiele w tem winy ojcowskiej formy rządu, który wszystko reguluje za pomocą przepisów i rozporządzeń. Jakże ma się wytworzyć zmysł społeczny i duch przedsiębiorczości, gdy nie się stać nie może bez aprobaty władzy i urzeczywistnienie najlepszych zamiarów zależy od kaprysu jakiego urzędnika. Wszystko, co pozostaje do czynienia włościaninowi, to jest być posłusznym, oczekiwać spokojnie na łaskę przełożonych i, jeśli co jest uciążliwym do wykonania, dziękować dobremu Bogu, że nie jest jeszcze uciążliwszem.

Jedynym znakiem, że słabe poczucie piękna istnieje u wieśniaków zachodnio-syberyjskich są kwiaty i rośliny, ozdabiające okna chat. W całej wsi można nie zobaczyć ani jednego drzewa, ani trawki zielonej, ale nie ma prawie chaty, w której oknach nie widać by było kwitnących fuksyi, oleandrów, geranii, róż herbacianych lub goździków. Oryginalne także wywierają wrażenie przepalone słońcem szyby okien, grą swych kolorów stanowiąc

z drewnianymi ciemnymi ścianami domów kontrast, rzucający się w oczy.

Przy zbliżaniu się do Tiumenia zmienił się charakter krajobrazu. Znikła rozległa równina, okolica urodzajna i uprawna, którą zastąpił bagnisty las pierwotny. Droga, będąca dotąd względnie w dobrym stanie zmieniła się na uciążliwą, błotnistą, koła naszego ciężkiego tarantasa zagłębiały się po osie, tak, że ledwie powoli posuwaliśmy się naprzód. Usiłowano poprawić ten stan drogi, układając na bagnistym gruncie grube pnie drzewne, nie zdołały one jednak okazać długo oporu mnóstwu ciężkich wozów ładownych i sprawiły tylko, że droga była o wiele jeszcze uierówniejszą. Ciągłe wstrząśnienia stały się dla nas wkrótce nie do zniesienia, wysiedliśmy więc, przekładając nad taką jazdę podróżowanie czas jakiś piechotą. Ale słońce opuściło się już nisko i ukąszenia owadów, których tu było mnóstwo, były tak przykre, że po jakimś kwadransie, z pokłutymi twarzami, schroniliśmy się do pojazdu.

Przy chacie strażniczej u wrót jednej z wsi ostatnich przed Tiumeniem, usłyszeliśmy głośny dźwięk dzwonka. Gdyśmy się zatrzymali, podszedł do nas człowiek z dzwonkiem, w długim czarnym odzieniu, z czupryną konopiastą, spadającą, aż na ramiona i z puszką, przytwierdzoną pod szyją.— Wskazał on na ustawiony przy drodze obraz włożonych ramach, który prawdopodobnie przedstawiał jakiegoś świętego. Co to wskazanie miało znaczyć nie mogliśmy sobie na razie objaśnić. Po wielu pokłonach i przeżegnaniach, przy całej powodzi

różnych dla nas błogosławieństw, poprosił on, abyśmy wspomogli datkiem cerkiew pod wezwaniem tegoż świętego, która zapewne znajdowała się w pobliżu. Mego towarzysza zabawiła ta przygoda bardzo i zapytał żartobliwie, czy droga ta należy do świętego i czy ów człowiek pobiera cło w jego imieniu. Zapytany odpowiedział, że święty nie ma z drogą nic wspólnego, ale cerkiew jego jest uboga i wszyscy szlachetni panowie, którzy tędy przejeżdżają, mają we zwyczaju wspomagać ją i przytem nie zapominać i o ubogim stróżu wrót. Naturalnie chcieliśmy również uchodzić za „szlachetnych panów”—daliśmy mu kilka monet drobnych z zaleceniem, aby połowę wpuścił do puszki, a resztę zatrzymał dla siebie. Gdyśmy w ten sposób opłacili podatek cerkwi i szynkowni dwom filarom stroju społecznego rosyjskiego ruszyliśmy w dalszą drogę.

We czwartek 18 czerwca popołudniu, wyjechaliśmy z lasu na szeroką równinę, pokrytą świeżą trawą i żółtem kwiecieniem mleczu, co jej nadawało zielono-żółte zabarwienie. „Oto tam Tiumeń!”—zawołał nasz woźnica, wskazując biczem przed siebie. Ujrzelśmy wtedy długi szereg piramidalnych dachów drewnianych, które tu i owdzie przerywały jasne mury jakiejś budowli rządowej lub zielona kopuła cerkwi. Minęliśmy wkrótce kolumnę marmurową, wzniesioną w 1868 r., na pamiątkę pobytu i pożegnania się w tem miejscu przez obywateli z Wielkim Księciem Włodzimierzem, potem przejechaliśmy koło oddziału żołnierzy, ćwiczących się w strzelaniu do tarczy, wzdłuż szeregu niskich szop,

otoczonych pokrytymi białem płótnem wozami dla zesłańców i wreszcie przybyliśmy do znajdującego się na przedmieściu słynnego więzienia etapowego.

W mieście znajduje się kilka hoteli; skorzystaliśmy jednak w rekomendacji naszego woźnicy i zajechaliśmy do niejakiego pana Kowalskiego, który miał pokój do wynajęcia. Było już około szóstej pod wieczór, gdyśmy tam przybyli — przejechaliśmy w dwa dni, jedenaście razy zmieniając konie, około 350 kilometrów i przepędziliśmy przeszło czterdzieści godzin prawie bezsenność na naszym niewygodnym wozie. Zesztywniały mi zupełnie członki od trzęsącej jazdy — gdyby się wtedy ukazał sam cesarz, nie byłbym w możności oddać mu ukłonu. — Zaledwie zdołałem wgramolić się na schody domu; gdy się to wreszcie stało i gdyśmy głód zaspokoili, położyliśmy się i przespali dorana dnia następnego.

Tiumeń, odkąd właściwie rozpoczynała się dopiero nasza podróż po Syberyi i gdzie miały się zacząć nasze badania systemu deportacyjnego, jest miastem, liczącem 19,000 mieszkańców, oddalonem od Petersburga o 2740 kilometrów; leży ono na prawym brzegu rzeki Tury, powyżej jej ujścia do Tobola. Miasto i okolica prowadzą nader znaczny handel. Panują u nas, jak już wspomniałem, tak fałszywe opinie o Syberyi, iż uważam za stosowne, gdyby się to nawet komu zdawało nudnem, przytoczyć kilka danych statystycznych. Prowincya Tobolska, którą najprzód napotyka na drodze każdy przyjeżdżający z Europy, rozpościera się od

morza Lodowatego do słonecznych stepów Semipalatyńska i Akmolińska, od gór Uralskich do granic prowincyi Jenisiejskiej i Tomskiej. Powierzchnia jej wynosi 152,743,979 hektarów, w czem jest 10.926,970 hektarów ziemi uprawnej. Posiada ona ośm miast, których zaludnienie waha się między 3,000 i 20,000 głów, ludność ogólna prowincyi przenosi 1.200,000 dusz. Corocznie wywożą stąd w wielkiej ilości produkty surowe— skóry, wosk, szczeciinę, futra, pierze, ryby i konopie, i około dwóch milionów funtów masła idzie stąd corocznie przez Rostów nad Donem do Konstantynopola. Ilość bydła oceniają na $2\frac{1}{2}$ miliona sztuk, a zbiór zboża w ciągu jednego roku dosięga cyfry około dziesięciu milionów hektolitrów.

Przemysł fabryczny tej prowincyi dopiero zaczyna się rozwijać, ale dawał zatrudnienie już wtedy przeszło sześciu tysiącom ludzi i produkował towarów na sumę około $8\frac{1}{2}$ rubli—oprócz tego istnieje wiele małych warsztatów i znaczny przemysł domowy, który wyrabia płótno, kobierce, sieci do łowienia ryb i wiele innych przedmiotów. Na porzeczcu Obi poławia się równie do 8 tysięcy tonn ryb, na których konserwacyę zużywa się 3 tysiące tonn soli. Tiumeń, najznaczniejsze miasto w tej okolicy, leży, jak już wspominałem nad Turą, która stanowi punkt wyjścia komunikacyi parostatkowej po całym porzeczcu Obi. Na tej rzece kursuje 58 parostatków, po większej części między Tomskiem i Tiumeniem. Ostatnie miasto jest punktem tranzytowym dla towarów wartości od 30 do 40 milionów rubli rocznie. Syberja wysyła na jarmark do Niż-

szego-Nowogrodu corocznie swych surowych produktów od 30 do 40 milionów rubli i otrzymuje w zamian 300,000 tonn manufaktury.

Następnego dnia przekonaliśmy się, jak zmienną jest pogoda syberyjska. W ciągu nocy wiatr zmienił kierunek północno - wschodni i powiał od północnego morza Lodowatego przez tundry. Zimny deszcz upadł i zamienił niebrukowane ulice w kałuże, tak że prawie niemożliwym stało się chodzenie po ulicach. Pojechaliśmy dorożką na pocztę, i z powrotem i resztę dnia spędziliśmy na przegłądaniu otrzymanych listów i odpowiadaniu na nie.

W sobotę niebo się wyjaśniło i odbyliśmy przejażdżkę po mieście. Nie było to warte trudu. Takie same brudne, niebrukowane ulice, jakie spotykaliśmy po wsiach, tylko tutaj znajdowały się chodniki, ułożone z pali drewnianych, a domy, również drewniane, były obszerniejsze. I tutaj jak tam żadnego drzewa, żadnego podwórza, ani drzwi od frontu. Tylko jasne mury cerkwi z zielonemi kopułami urozmaicają ten widok.

Pewien pan z Petersburga dał nam list polecający do tutejszego dyrektora szkoły realnej p. Słowtsowa. W sobotę popołudniu, gdy się pogoda zupełnie ustaliła, oddaliśmy to pismo i byliśmy serdecznie przyjęci. Szkoła, w której jest on przełożonym, jest najładniejszym budynkiem miasta; jest to masywna dwupiętrowa budowla murowana, którą zbudować kazał pewien bogaty kupiec kosztem 85,000 dolarów i podarował ją miastu. Urządzona jest wybornie, posiada oddział mechaniczny z maszyną parową do poruszania warsztatów, oddział przyrodni-

czy, posiadający najlepsze i najnowsze aparaty i laboratorium chemiczne, obficie we wszystko zaopatrzone, niż większość podobnych, jakie zdarzyło mi się widywać, bibliotekę, muzeum, które między innymi zawiera herbarium tutejszych dziko rosnących roślin. Jest to, krótko mówiąc, wzorowy zakład, który może nie obawiać się porównania z żadnym podobnym.

Pan Słoststow udzielił nam adresu pewnego Szkota, p. Wardropera, który trudni się tu handlem od lat przeszło dwudziestu. Przypuszczaliśmy, że wizyta z dalekiego Zachodu nie będzie dla niego nieprzyjemną i nie zawiedliśmy stę, gdyż byliśmy przyjęci najserdeczniej i uczuliśmy się wkrótce w rodzinnem jego kółku, jak wśród swoich.

W Tiumeniu znajduje się najznacześniejsze więzienie etapowe na Syberyi i rezyduje zwierzchni zarząd wszystkich miejsc zesłania. Wszyscy skazani na zesłanie lub do robót ciężkich na południe lub wschód Syberyi, przesyłani tędy, zatrzymują się w tem więzieniu i tutaj zbierane są o skazańcach odnośne dane osobiste i statystyczne i wnoszone do wykazów urzędowych. Pamiętając o tem, żeśmy w Permie za obojętne z zewnątrz więzienia byli aresztowani, wątpiliśmy, by nam tu pozwolono zwiedzić więzienie wewnątrz; pan Wardropper był jednak innego zdania i zaprowadził nas w niedzielę do dyrektora policyi, pana Krassina. Wręczyliśmy mu nasze listy polecające z ministerjów rosyjskich i byliśmy bardzo uprzejmie przyjęci i zaproszeni na śniadanie. W ciągu rozmowy powiedział nam, że został zawiadomiony o celu naszej podróży ze stro-

ny władz i osób prywatnych i że będzie nam w tym względzie pomocny. Wyraził obawę, że nam się wydać mogą więźnia przepelnionemi i w złych warunkach sanitarnych, mimo to zgodził się wydać nam pozwolenie na zwiedzenie ich i wyznaczył na to jeden z dni najbliższych.

Nagle zasłabnięcie przeszkodziło mu spełnić danego nam przyrzeczenia, przysłał nam jednak we wtorek list polecający do dyrektora więzień i w środę o 10-ej rano stanęliśmy w towarzystwie p. Wardropera i p. Ignatowa — byłego członka komisji więziennej—przed bramą zakładu więziennego. Była to budowla murowana o trzech piętach, około 25 metrów wysokości i 15 metrów szerokości, pokryta dachem z blachy. Stała ona wśród obszernego podwórza, otoczonego murem, wysokim na trzy metry. W jednym rogu znajdowała się czarno-biała, okratowana budka strażnicza, przed którą przechadzali się szyldwachy z nabitymi karabinami Berdana i najeżonymi bagnietami. Na lewo od bramy stał mały domek, który służył za biuro więzienne, przed biurem znajdował się słup z daszkiem i umieszczonym pod nim dzwonem.

Przed więzieniem siedziało kilka dziewcząt i kobiet, które tu przynosiły na sprzedaż dla skazańców chleb, mięso zimne, jaja gotowane, mleko i jeszcze inne różne artykuły żywności. Pierwotnie więzienie w Tiumeniu przeznaczone było na pomieszczenie 500 więźniów, przez przybudówki rozszerzono je na 800 więźniów; ale w dniu naszego pobytu znajdowało się w niem nie mniej niż 1741 uwięzionych. Straż zatrzymała nas u bramy, przed-

stawiliśmy nasze pozwolenie, na co żołnierz zawołał głośno przez kwadratowy otwór w bramie: „starsz!” — wzywając dozorcę straży. Nadszedł podoficer, uzbrojony w szablę i rewolwer i odebrał od nas pismo polecające do dyrektora więzienia.

Wkrótce wstęp został nam udzielony.

Okolo 50 więźniów spacerowało po podwórzu lub siedziało grupami na ziemi. Wszyscy byli w szarej odzieży. Ubrani byli w okrągłe czapki, koszule spodnie z grubego płótna i kaftany, do których na plecach przyszyte były po jednym lub po dwa czworokątne kawałki czarnego, albo żółtego sukna. Prawie wszyscy mieli na nogach kajdany, których łańcuchy wydawały dźwięk przy każdym poruszeniu.

Przybyliśmy do t. zw. „kamery,” dużej celi, znajdującej się w jednopiętrowym baraku drewnianym po lewej stronie od bramy. Zapewne wznieziono ten budynek w celu pomieszczenia tych, dla których zabraknie miejsca w gmachu głównym. Sala miała 12 metrów długości, 8 metrów szerokości i 4 metry wysokości. Ściany, zbudowane z belek, były kiedyś potynkowane, obecnie zaś tak były brudne, jak czarna od błota podłoga. Trzy zakratowane, wychodzące na podwórze okna, przepuszczały światło. W pośrodku stała drewniana prycza 10 metrów wysokości, 4 metrów szerokości i $\frac{2}{3}$ metra wysokości. Pochylała się ona nieznacznie na obie strony i służyła za miejsce do spania dla dwóch rzędów skazańców. Ta prycza i kubel, służący w niezbędnej potrzebie, stanowią całe urządzenie więzienia syberyjskiego; więźniowie nie otrzymują ani kołder, ani poduszek, spoczywają oni na

twardej prycezy i nakrywają się jak mogą swem odzieniem. Gdyśmy weszli, więźniowie zeskoczyli nagle z dźwiękiem kajdan z prycezy, zdjęli czapki i ustawili się w milezeniu naokoło.

— Jak się macie dzieci?—zapytał dyrektor.

— Życzymy waszej łaskawości zdrowia! — brzmiała wielogłówna odpowiedź,

— Więzienie strasznie jest przepelnione—zwrócił się dyrektor. — Ta salka np. ma 12 metrów długości, 8 metrów szerokości i posiada miejsca najwyżej na 40 ludzi. Ilu ostatniej nocy tutaj spalo?—zapytał więźniów.

— Stu sześćdziesięciu — odpowiedziało kilka chrypliwych głosów.

— Do celi tej zatem wpakowano cztery razy tylu ludzi, ilu ich w niej powinno się mieścić—zaznaczył, zwracając się do mnie i u nas tak wszędzie.

Obejrzałem się naokoło. Nigdzie śladu wentylacji; powietrze było tak zepsute, że mi zapierało oddech.

Zwiedziliśmy jedną po drugiej sześć cel w podwórzu, wszystkie były w tym samym stanie, wszędzie przepelnienie, trzy lub cztery razy więcej więźniów po nad normę, prawie wszędzie prycezy nie wystarczały dla wszystkich i część skazańców musiała sypiać na brudnej podłodze. Gdyśmy weszli do jednej z tych cel wypełzło kilka chorych widocznie, sądząc po ich wyglądzie, osób z pod prycezy.

Po obejrzeniu baraków w podwórzu, zwiedziliśmy gmach główny, gdzie mieściła się kuchnia, był on jeszcze gorszy.

Pan Ignatow, który jako członek komisji wie-

ziennej stan ten znał dokładnie, usunął się od towarzyszenia nam.

Poszliśmy dalej przez ciemne, brudne korytarze, po obu stronach których ciągnęły się masywne drzwi drewniane, prowadzące do małych cel, które w tym samym stosunku były przepelnione i posiadały takie same urządzenie. W jednej z tych cel ujrzelśmy ośmiu do dziesięciu ludzi, widocznie ze stery wyższej i wykształconej. Tutaj nawet dyrektor zdjął swą czapkę. Prawdopodobnie byli to „polityczni,” przynajmniej bywają tu zwykle zesłani z powodów politycznych.

Wszędzie powietrze było w najwyższym stopniu zepsute, a zwłaszcza na drugim piętrze. Było ono przesycane zarodkami chorób, które wydzielają wyziewy chorych, a zwłaszcza z cuchnących kułbów. Trudno było oddychać dłużej w tych pomieszczeniach i powstrzymywałem oddech, by nie wpaść w omdlenie. Dyrektor zauważył mój stan.

— Niech pan zapali papierosa i wypije w aptece szklaneczkę wina, to pana orzeźwi — rzekł do mnie.— Nie jest pan przyzwyczajony do powietrza więziennego.

Poszedłem za jego radą i udaliśmy się dalej, by zwiedzić warsztaty.

Znajdowały się one na drugim piętrze. W jednym z nich zajętych było trzech czy czterech więźniów łataniem obuwia, w innym trudnili się stolarstwem, wszyscy bez odpowiednich narzędzi i fachowego kierownictwa. Wydało mi się śmiesznem, gdy te cele tytułowano warsztatami. Kuchnia przedstawiała mroczne, brudne pomieszczenie na par-

terze. Tutaj, piekli chleb półnadzy mężczyźni i gotowano zupę w wielkich kotłach żelaznych. Skosztowałem jej z drewnianej warząchwii, którą jeden z kucharzy usiłował dla mnie oczyścić wprzód garścią niezbyt czystych pakul lnianych; zupa wydała mi się pożywną i smaczną. Chleb był kwaśny, ale nie gorszy od tego, jaki zwykle spożywają wieśniacy rosyjscy. Każdy więzień otrzymywał dziennie $2\frac{1}{2}$ funta chleba czarnego, sześć uncyi gotowanego mięsa, 2 do 3 uncyi krup lub kaszy owsianej i rano i wieczorem po kubku „kwasu.”

Teraz zapytał nas dyrektor, czy nie zechcemy zwiedzić oddziału dla chorych. Wyraziłem życzenie zwiedzenia wszystkiego, co było wogóle do zwiedzenia. Moja ciekawość wydała się dyrektorowi całkiem nie do pojęcia, poprowadził nas jednak bez wszelkich ze swej strony uwag na trzecie piętro, przeznaczone dla chorych. Izby dla chorych były obszerniejsze i jaśniejsze, niż cele więzienne, stan ich jednak nie był o wiele lepszy. Tak samo tu, jak i tam brakowało wentylacyi, a dezynfekcyja jak się zdawało, była tam weale nie znaną. Atmosfera była zatruta; człowiek zdrowy zachorowałby w tem powietrzu w dni kilka, jak więc mógł w niem wyzdrowieć chory. W każdym oddziale znajdowało się od 12 do 15 łóżek żelaznych, które stały przy ścianach w trzy rzędy, z głowami obróconemi ku ścianie, dzieliła je przestrzeń wolna $1\frac{1}{2}$ metra szerokości. Pościelenie składało się z woru, wypchanego słomą, poduszki z szarej wełnianej koldry, mój towarzysz twierdził potem, że dostrzegł tu i owdzie prześcieradła z grubego płótna; ja nie przypo-

minam sobie, bym je zauważył. Na czarnych przybitych u wezglowia tabliczkach oznaczona była nazwa choroby w języku rosyjskim lub łacińskim i czas przyjęcia do lazaretu. Najczęściej zdarzającymi się chorobami były: skorbut, tyfus, gorączka gastryczna, bronchit, reumatyzm i syfilis. Chorzy tyfusowi leżeli oddzielnie; co do innych wszelkie odosobnienie uważane było za zbyt uczynne, rozdział płci był wyłączony. Nigdzie indziej nie widziałem tak wychudłych trupio-bladych twarzy, jak tutaj, w salach dla chorych gmachu więziennego w Tiumentiu. Jakże mogło być inaczej w tych wstrętnych, zapowietrzonych pomieszczeniach, nad wejściem do których właściwym byłby napis: „Pozostawcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić!”

Zwiedziliśmy jeszcze oddział położniczy i tyfoidalnych, wtedy miałem już tego dosyć. Poczuliem pragnienie dostania się na świeże powietrze, aby mózgiem odetchnąć. Dyrektor sprowadził nas najprzód jeszcze do apteki na dół, aby nam ofiarować wina i skropić wodą karbolową, co było środkiem zapobiegawczym przeciwko zarażeniu. To po zatrutej atmosferze, jaką opuściliśmy, już nas nieco orzeźwiło; ale dopiero na otwartem podwórzu wciągnąłem pełną piersią powietrze i doznałem uczucia, jakiego doświadczać musi człowiek, którego uratowano od uduszenia.

— Ilu z tych chorych umiera rocznie?—spytałem dyrektora.

— Około trzystu—odpowiedział.—Prawie każda jesień przynosi z sobą epidemję tyfusu. Czyż można czego lepszego oczekiwać od tych przepel-

nionych pomieszczeń? Niemożliwym jest utrzymać je w czystości, a jakie powietrze zapełnia te sale, to sam pan odczuł na sobie. W jesieni bywa zazwyczaj o wiele gorzej. W lecie można przynajmniej przy pogodzie przyjaźniejszej odświeżać powietrze przez otwieranie okien. My sami cierpimy przy takich stosunkach nie mniej, niż więźniowie; mój pomocnik przed niedawnym czasem dopiero przyszedł do zdrowia, po przebyciu tyfusu, którym się zaraził, przy pełnieniu swych obowiązków i który go trzymał w łóżku sześć tygodni. Władze miejscowe wielokrotnie już prosiły rząd o pomoc, ale prócz zbudowania dwóch baraków drewnianych nie dotąd nie zrobiono.

Dyrektor opowiadał tylko o faktach, które każdemu w tej miejscowości były znane i których nie mógł ukryć przed obcymi.

Udaliśmy się wreszcie do więzienia dla kobiet, które znajdowało się po drugiej stronie ulicy i otoczone było parkanem z pali. Z zewnątrz podobne było do wyżej wspomnianych baraków, cele były jednak mniejsze, nie tak przepelnione i znacznie czystsze i jaśniejsze. Podłogi i prycze były czysto wyszorowane, tu i owdzie dawał się nawet zauważyć zbytek w postaci kawalków kobierca; w jednej z cel znaleźliśmy nawet kilka doniczek z kwiatami. Tak samo jak mężczyźni, muszą także kobiety spać bez poduszek i kołder na twardych pryczach, rzędami. Niektóre tylko nosiły na swych obliczach piętno pospolitości, były to po większej części chłopki, wiele miało przy sobie swe dzieci.

W końcu udaliśmy się do więzienia rodzin ze-

ślanych. Był to również barak, otoczony parkanem z pali, około 25 metrów długości, w którym nie było żadnych oddziałów, gdzie trzymano około 300 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. I tu było takie same przepełnienie i takie same zatrute powietrze, jak w innych więzieniach. Dzieci płakały z głodu i nędzy, dorośli wyglądali przybici i przygnębieni. Kobiety w tym oddziale nie były zesłane, towarzyszyły one z dobrej woli swoim mężom.

Tymczasem wybiła pierwsza godzina i pan Ignatow zaprosił nas na śniadanie. Wiedziałem, że gospodarz nasz przyjął na moją mowę dawnej transport skazańców, dostawionych na barce, wiedziałem także, że był on jednym z wybitniejszych członków komitetu więziennego, zapytałem go więc, czy rządowi znane są te stosunki. Odpowiedział, że corocznie wszystkie władze odnośne przesyłają do Petersburga zgodne z istotnym stanem rzeczy sprawozdania; zresztą to, co się tu dzieje, nie jest stanem wyjątkowym. Budowa nowych więzień nie tylko na Syberyi, ale także i w Rosyi jest niezbędną, ale rządowi brak pieniędzy; gruntowna poprawa w tej dziedzinie wymagałaby wydatkowania najmniej 10 milionów rubli. Dodał, że te stosunki są wprost okropne i dobrowolne jego usunięcie się z urzędu nastąpiło jedynie dla tego, że rząd nie chciał dać swego zezwolenia na budowę projektowanego szpitala.

Te informacje, jak również objaśnienia dyrektora potwierdzono mi ze stron wielu.

Ze sprawozdania wydziału medycznego przy ministerjum spraw wewnętrznych dowiedziałem się,

że w 1884 r. z pośród aresztantów więzienia etapowego w Tiumeniu niemniej niż 28.4 procent, czyli prawie jedna trzecia część trzymana była w oddziale dla chorych. Jeśli wziąć pod uwagę, że rocznie 17 do 19000 skazanych przebywało tam czas jakiś, że wielu, którzy chorowali w celach, nie zostało do tej cyfry włączonych, wtedy można będzie sobie w przybliżeniu wyobrazić, jaki ogrom nędzy tu panuje.

Aby system deportacyi pojąć i ocenić, jak ważną rolę odgrywa tutaj więzienie etapowe w Tiumeniu, niezbędnem jest wiedzieć, że w Rosyi nie ma właściwie wcale więzień karnych. Kto został skazany na karę, niższą od czterech lat zamknięcia, ten odbywa ją w jednym z rosyjskich domów poprawczych, gdyż ze względu na krótki przeciąg czasu trud przesyłania go nie oplaca się. Wszyscy jednak, skazani na czas dłuższy niż lat cztery, idą na Syberyę. Tak w latach od 1823 do 1887 włącznie wysłano na Syberyę 772,979 osób, a mianowicie:

Od 1823 do roku	1832	98,725
"	1833	" 1842 86,550
"	1843	" 1852 69,764
"	1853	" 1862 101,238
"	1863	" 1872 146,380
"	1873	" 1877 91,257
	W roku	1878 17,790
	"	1879 18,255
	"	1880 17,660
	"	1881 17,183
	"	1882 16,945

"	1883	19,314
"	1884	17,824
"	1885	18,843
"	1886	17,477
"	1887	17,774
	Razem	772,979

Zesłańcy dzielą się na trzy główne kategorie: I. katorżnicy — skazani do robót przymusowych, II. osiedleńcy—koloniści karni i III i zesłańcy właściwi czyli poprostu wygnańcy. Jako czwartą klasę można do nich doliczyć dobrowolnych—ochotników oraz kobiety, dzieci, które towarzyszą bez przymusu swym bliskim. Przestępcy dwóch pierwszych kategorii są pozbawieni wszystkich praw cywilnych i muszą przez całe życie pozostawać na Syberyi; ci, którzy należą do trzeciej kategorii, zatrzymują niektóre tylko prawa i mogą po upływie czasu kary powrócić do miejsc rodzinnych. Tamci muszą także z żelaznemi kajdanami, pięciu funtów wagi, na nogach i z ogoloną do połowy głową wędrować do miejsca przeznaczenia, ci zaś są wolni od tego. Do zesłańców klasy trzeciej należą: I. Włóczęgi, tulający się po kraju, II. Osoby, które są zesłane przez wyrok sądowy, III. Osoby, które skazał na wygnanie zarząd gminy, do której należą. IV. Osoby, które są zesłane w drodze administracyjnej.

Wykaz tych różnych kategorii za 1885 r.—czas mej podróży syberyjskiej — obejmuje następujące pozycye:

	mężczyzn	kobiet	razem
I. Katorżników	1,440	111	1,551
II. osiedleńców.	2,526	133	2,659
III. deportowanych:			
a) włóczęgów	1,646	73	1,719
b) skazan. na zesł. przez sądy	172	10	182
c) zesł. przez wł. gmin.	3,535	216	3,751
d) w drodze administr. .	300	68	368
IV. dobrowolnych (ochotnik)	2,068	3,468	5,536
razem	11,687	4,079	15,766

Jak ujawniają te same wykazy, „ochotnicy”, kobiety i dzieci, którzy towarzyszą swym małżonkom i ojcom na wygnanie, stanowią klasę najliczniejszą, przeszło trzecią część ogółu. Wedle sprawozdań urzędowych w ostatnich latach stanowili oni:

rok	deportowani	kobiety i dzieci	procent
1882	16,945	5,276	31
1883	19,314	6,311	33
1884	17,824	6,067	34
1885	18,843	5,536	28
Razem	72,926	23,190	31

Wykazy te dowodzą dalej, że z 10,230 osób, które jako przestępcy zesłane zostały na Syberję, tylko 4,392, a więc mniej niż połowa sądzona była przez sądy, a 5,838 zesłanych zostało w drodze administracyjnej, czyli na rozkaz ministra spraw wewnętrznych. Ustosunkowanie tych dwóch rodzajów zesłańców ulega tylko nieznacznym wahaniom. Od

1887 roku do 1876 włącznie wysłano na Syberję 151,585 osób, z czego 48,80% wskutek wyroków sądowych i 51,20% w drodze administracyjnej. Do więzienia etapowego w Tiumeniu dostawiono od roku 1880 do 1886 włącznie różnemi czasami 120,065 zesłanych, z których 64,513 czyli 53,7% skazanych sądownie i 55,552, albo 46,3% przez ministra spraw wewnętrznych. Wedle sprawozdań rządowych z siódmego lat dziesiątka było tylko 45,6% skazanych przez sądy.

Zestawienia te dowodzą wreszcie, że przeszło trzecią część przymusowych wygnańców zesłały gminy. W Rosyi ma każda gmina wiejska prawo swych członków, którzy są dla gminy ciężarem lub źle się prowadzą, wypędzać, i jeśli gmina uwolnionych skazańców nie zechce przyjąć napowrót, to wysyłają ich „w drodze aministracyjnej” na Syberję. Zesłani z przyczyn politycznych nie są zaliczeni do żadnej klasy, znaleźć ich można w każdej. Ilość ich nie jest tak wielką, jak ogólnie mniemają, nie wynosi ona rocznie więcej po nad 150 osób.

W 1884 r. przez Tiumeń przeszło 140 „politycznych”, a od początku 1885 do czasu mego tu pobytu przebywało w więzieniu etapowym tylko 60. Cyfry te jednak są trudne do sprawdzenia dlatego, że dopiero w ostatnich czasach sprawozdania urzędowe zawierają to wyszczególnienie. Zawsze jednak sędzę, że 1% cyfry ogólnej stanowić będzie liczbę, zbliżoną najwięcej do prawdy.

W dniu, w którym zwiedzaliśmy więzienie etapowe w Tiumeniu, mieliśmy także sposobność wi-

dzieć pochód deportowanych w drodze do Jalutorska. Zamierzaliśmy naszkicować więzienie i gdyśmy tam w tym celu przybyli, ujrzelśmy przed nim tłum ożywiony. Było w nim około 100 kobiet i dzieci w pstrej odzieży i 250 mężczyzn w szarem odzieniu skazańców; tych ostatnich otaczał oddział żołnierzy. W pobliżu stało 15 do 20 „teleg”, z których kilka naładowanych zawiniątkami, zawierającymi nędzne mienie tych biedaków; na innych znowu siedziały kobiety i dzieci, które z powodu choroby, wieku lub osłabienia nie mogły iść piechotą. Dziwiło mnie, że wogóle ktokolwiek, przebywszy w tem więzieniu choć tydzień, może jeszcze chodzić. Przerwany gwar tłum stał się głośnym, słychać w nim było płacz dzieci i dźwięk kajdan. Przy telegach stanął prowadzący pochód oficer, tęgi mężczyzna z żółtawemi faworytami, bladoniebieskiemi oczami i twardemi rysami twarzy; otoczyły go kobiety i dzieci, chcąc wyblagać łaskę jechania.

— Niech pan pozwoli łaskawie, aby moja mała pojechała! błagała wybladła kobieta.—Ona nie ma jeszcze lat 10-ciu i nóżka ją boli. Ona nie może biedz 30-ści wiorst.

— Co jej jest w nogę? — zapytał oficer niecierpliwie, rzucając spojrzenie przelotne na nagie nogi dziecka.

— Niewiem. Boli ją—odparła matka.—Niech się pan zlituje.

— Nie można. Nie ma miejsca—rzekł jeszcze niecierpliwiej, niż przedtem. — Nie będzie tak źle. Zresztą wygląda ona na starszą.—I zwróciwszy się

do dziecka, powiedział szorstko:—Idź piechotą, będziesz mogła zrywać kwiatki.

I odwrócił się do nich plecami; nie odważyły się przemówić ani słowa więcej. Aby uniknąć dalszych prózb zakomenderował: „W szeregi!”

Zrobiła się cisza, tylko dźwięk kajdan dawał się słyszeć. Żołnierze podjęli broń na ramię, więźniowie przeżegnali się i skłonili przed kaplicą więzienną:

— Naprzód marsz!

I pochód ruszył w drogę.

Kilku kozaków w ciemnozielonych mundurach jechało naprzód, mężczyźni i kobiety, pod strażą żołnierzy, szli za nimi gęstą, bezładną gromadą, potem jechały wozy z chorymi i dziećmi; w tyle znowu jechało kilku kozaków, koniec pochodu stanowiło kilka podwód z bagażami.

Wkrótce zniknął nam pochód z przed oczu i słyszeliśmy tylko z oddali brzęk kajdan i głosy kozaków.

Transport ten składał się przeważnie z „osiedleńców,” a także z osób, zesłanych przez gminy. Miejscem ich przeznaczenia było kilka wsi na południe prowincyi tobolskiej.

W sobotę popołudniu widzieliśmy na przystanku ładowanie na statek 700 osób, które zesłane były do Tomsku. Statek miał wygląd zwyczajnego parostatku morskiego, tylko zanurzał się znacznie mniej i brakło na nim omasztowania. Długość jego wynosiła 75 metrów, a szerokość 10; szereg prostokątnych otworów przepuszczał z góry światło do drugiej kajuty. Na pokładzie znajdowały się dwie

wielkie kajuty, z których jedna przeznaczona była dla chorych i mieściła także aptekę; druga służyła dla oficerów załogi, a także dla zesłańców z lepszego towarzystwa. Obie połączone były z sobą dachem, a dwie strony boczne tworzyły mocne kraty żelazne. W tej zaledwie 25 metrów mającej długości i 10 metrów szerokości klatce, mogli więźniowie spacerować i oddychać świeżem powietrzem. Prócz tego, wewnątrz dzieliła ją krata na dwie nierówne części, z których mniejsza przeznaczona była dla kobiet i dzieci, a większa dla mężczyzn i nosiła nadaną jej przez więźniów nazwę „kojca.” Stąd wiodły schody na dół do kabin sypialnych. Były one szerokie na 10 metrów, wysokie na 2¹/₂ metra i długie na 10 do 20-tu. Jedna służyła dla kobiet i dzieci, dwie albo trzy inne dla mężczyzn. Wszędzie znajdowały się po dwa podwójne tapczany, które mogły pomieścić cztery rzędy śpiących; również i przy bocznych ścianach statku stały przyczeki. Statek był, przed wprowadzeniem nań ludzi, gruntownie oczyszczony i zdezynfekowany, tak że powietrze była na nim czyste i świeże. Stał on przy pływającym pomoście, podobnym do tych, jakie po raz pierwszy ujrzeliśmy na Woldze; wiodły doń schody z wysokiego brzegu; w odległości kilku metrów od niego stał podoficer, a stojących na brzegu więźniów, otaczali, jak zwykle, żołnierze. Pułkownik Winokorow, inspektor transportowania deportowanych do Syberyi Zachodniej, pozwolił nam sfotografować statek i zesłańców; gdy to nastąpiło, rozkazano ludziom zejść na pokład. Więźniowie wzięli swe zawiniątka na ramiona i zeszli na dół

po spadzistych schodach; większość zakuta była w kajdany, których brzęk słyhać było przez cały czas ladowania więźniów na statek, co trwało godzinę. Odzienie stanowiły jednostajne szare kostyummy skazańcze, ale same ich postacie, pochodzące ze wszystkich miejscowości obszernego państwa, przedstawiały wielką różnorodność; tu kroczył Rosyauin, tam dziki góral z Dagestanu lub Kaukazu, który prawdopodobnie dostał się tutaj za dokonanie jakiej krwawej zemsty; brunatnawi Tatarzy z okolic nadwołżańskich, Turcy z Krymu, w swych czerwonych tezach, które stanowiły jaskrawy kontrast z szarem ubraniem aresztanckiem — chytrze z podębła patrzący żydzi z Podola, zapewne ujęci na przemytnictwie. Wyraz twarzy większości z nich był dobroduszny, raczej głupowaty i zmysłowy, niż surowy i złośliwy.

Wszystkich wladowano na statek.

Zamknięto zasuwę klatki żelaznej, opatrzoną wielkimi klódkami; wtedy przedstawił się oczom naszym różnobarwny obraz, przypominający jarmark rosyjski. Tu ledwie odrosła od ziemi dziewczynka podaje przez kratę kupującym więźniom jajka gotowane. Tam jeden z nich każe sobie napełnić naczynie swe mlekiem, które stara kobieta leje mu przez kratę za pomocą rurki. Wszędzie sprzedają chleb, ogórki solone, grzyby suszone. Handlujący mają zupełne do więźniów zaufanie, gdyż podają im swe towary przed otrzymaniem za nie pieniędzy. Stojący na straży żołnierze, przystojni, tędzy chłopcy ułatwiają często ten handel, pośrednicząc przy wręczaniu środków żywności lub pieniędzy

dzy za nie, nieraz nawet gdy np. kawał chleba nie może przecisnąć się przez kratę, otwierają zasuwę.

Tymczasem przybył pop (duchowny rosyjski), za którym sługa cerkiewny niósł księgę z ewangelją i ornat. Wszedł on do jednej z kajut, skąd wkrótce ukazał się napowrót w cerkiewnych szatach i z dymiącą kadzielnicą. Udał się on najprzód do oddziału kobiecego, gdzie monotonnym głosem odmówił modlitwę, kobiety słuchały jej nabożnie, kładąc na sobie znaki krzyża, ukląkłszy i pochyliwszy głowy.

Mało zainteresowania obudził za to duchowny w oddziale męzkim, dokąd się udał następnie. Zdjęli, prawda, wszysej czapki, ale niektórzy tylko zaczęli się modlić i handel szedł nieprzerwanie.

Duchowny rozebrał się z ornatu, wyraził kapitanowi życzenie drogi pomyślnej i wrócił do miasta.

Pan Frost i ja wałęsaliśmy się po pomoście z miejsca na miejsce i przyglądali się fizyognomiom więźniom. Większość wydawała się znacznie weselszą niż można było oczekiwać po ludziach, znajdujących się w tak poważnem położeniu. Żartowali, śmiali się i gwarzyli bardzo głośno. Gdy zauważyli, że mój towarzysz rysował w swej książce do szkicowania niektóre najcharakterystyczniejsze twarze, wysuwali z pośród siebie na pierwszy plan, śmiejąc się i żartując, tych ze swych kolegów których uważali za najodpowiedniejszych do tego celu; nie robili tego z głupoty—krótko mówiąc, swawolili jak uczniowie, którzy wesolo udają się na wycieczkę wakacyjną.

Gdy się ściemniło, parowiec przygotował się do drogi. Zabrzmiały słowa komendy, odczepiono linę i wielkie pływające więzienie ruszyło wolno w podróż do Tomska. Więźniowie tłoczyli się przy kratkach, chcąc rzucić jeszcze spojrzenie na Tiumeń.

3. Stepy nad Irtyszem.

Zamierzaliśmy przez stepy nad Irtyszem przez Omsk, Pawlodar, Semipalatyńsk, Ust'kamienogorsk i Barnaul jechać do Tomsku. Droga ta prowadziła przez najurodzajniejsze okolice prowincyi tobołskiej i tomskiej, które zaludniają gęsto zesańcy, i dawała nam sposobność poznać mahometańskie miasto Semipalatyńsk, kraj kirgizów i część gór Altajskich, tę piękną miejscowość górską, którą wychwalał przedemną jeden z oficerów rosyjskich z zachwytem, nazywając ją „Szwajcaryą syberyjską.” Ale jeszcze jedna przyczyna zniewalała nas zboczyć od zwyczajnego kierunku drogi. Tu, jak zauważyłem wszystkie władze były przez ministeryum spraw wewnętrznych powiadomione o naszej podróży i bez wątpienia otrzymały co do tego pewne wskazówki, jak się względem nas mają zachowywać. Znajdowaliśmy się zatem pod pewnego rodzaju urzędowym nadzorem, co celom mym bardzo przeszkadzało, a głównie memu zamiarowi zaznajo-

mienia się z wygnańcami politycznymi. Jak się później przekonałem, miałem wszelką zasadę być zadowolonym z tego zбочenia od pierwotnego planu podróży. Dostaliśmy się w ten sposób do obrębu, gdzie zesłańcy polityczni mogli się swobodniej poruszać, niż gdziekolwiek indziej i dlatego było tu najłatwiej z nimi się zapoznać, tembardziej że natrafiliśmy na humanitarnego, bezstronnego gubernatora.

Kupiliśmy więc znowu tarantas, zaopatrzyliśmy się w świadectwo na korzystanie z koni pocztowych, pożegnaliśmy znajomych i ruszyliśmy w dalszą drogę do Semipalatyńska.

Poczta cesarsko-rosyjska jest obecnie największą i najlepiej rządzoną komunikacją pocztową na świecie. Od południowego krańca półwyspu Kamczatki do najdalej na zachód leżącej wsi w Finlandyi, od burzliwego wybrzeża północnego morza Łodowatego, aż do gorących pustyń Azji środkowej całe państwo tworzy jedną sieć pocztową. Można w Niższym Nowogrodzie upakować swą walizę podróżną, wykupić t. zw. „podorożnaja“ (świadectwo na przejazd) na poczie, aby się udać do oddalonego o 11000 kilometrów Petropawłowska na Kamezatee, z całą pewnością, że na całej tej wielkiej przestrzeni znajdzie się wszędzie konie, renifery lub psy, gotowe do zaprzęgu. Karet pocztowych dla podróżnych, właściwych poczie zachodnio-europejskiej, albo amerykańskiej nie znają w Rosyi; na wózki, na których przewożą listy, nie przyjmują podróżnych. Kto więc chce jechać, jedzie we swym własnym powozie albo na saniach, do któ-

rych może wynająć konie, i jedzie się, jak kto sobie życzy i kiedy, zupełnie podług woli i jak mu najdogodniej. Opłata za taką pocztę w Syberyi zachodniej jest bardzo niską. Płaci się wraz z woźnicą za każdego konia około 24,7 kop. na kilometr, za używaną więc w kraju trójkę koni 7 kop.

Doznawałem często przykrego uczucia, gdyśmy kazali nieraz wśród nocy budzić woźnicę i puszczać się podczas burzy niekiedy w niebezpieczną być może drogę na krótką odległość i płaciliśmy mu potem za to śmiesznie małe wynagrodzenie. Ale jakkolwiek nieznaczne jest to wynagrodzenie, wielu wieśniakom wydaje się ono jednak dość wystarczającym, skoro robią poczeie konkurencyę i proponują podróżnym swe konie do zaprzęgu, a ci wybierają je często, gdyż konie takie zazwyczaj są lepsze, niż wychudłe szkapy pocztowe. Przy zbliżaniu się do wsi, woźnica po największej części zwraca się do podróżnych z zapytaniem, czy się ma zatrzymać przed stacją pocztową, czy też zajechać do domu swego „przyjaciela”. Daje to sposobność zaznajomienia się z bytem domowym tych ludzi.

Dzień pierwszy naszego przejazdu z Tiumenta do Omska nie przedstawiał nic interesującego. Jechaliśmy przez baguiste równiny, pokryte w wielu miejscach wierzbina i olszyną, albo gajami pokręconych niskich drzewin iglastych, które zacieśniały nam obręb widzenia. Cześć ta prowincyi Tobelskiej przedstawiała, jak się zdaje, w stosunkowo późnym okresie geologicznym śródładowe morze, łączące morza Kaspjskie i Uralskie z północnem Lo-

dowatam w kierunku zagłębienia, jakie obecnie przerzynają Ob i Irtysz. Domniemanie to potwierdzają lawice piaszczyste, słonawe jeziorka, warstwy mułu i błota, których się tu bardzo wiele spotyka.

Przyjaciół jeden dał mi list polecający do pewnego bogatego fabrykanta syberyjskiego, Kolmaka, który mieszkał w majątku swoim, odległym od Tiumenta o 100 wiorst mniej więcej, w bliskości wsi Zawodo — Ukowskaja. Odwiedziliśmy go wieczorem i niemało zostaliśmy zdziwieni pełnym smaku przepychem, jaki znaleźliśmy u niego. Choć dom był budowlą drewnianą o dwóch piętrach, ale był obszerny i urządzony wygodnie. Z okien widać było piękny ogród ze stawem, wężowatymi drózkami, grzędami kwiatów, altanami liściastymi, rzędami krzewów porzeczkowych. Na końcu ogrodu stała obszerna cieplarnia, napelniona geraniami, hortensyami, azaljami, drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi, ananasami i jeszcze wielu innymi roślinami tropikalnymi i nawpół tropikalnymi. Przy domu znajdowały się inspekta, pełne ogórków i melonów; w pośrodku ogrodu stał oszklony budynek, który służył za ogród zimowy. W tym pałacyku kryształowym zieleniał cały gaj drzew bananowych i palm, przecięty ścieżkami, okolonemi rabatami kwiatowemi, przy których w różnych miejscach rozstawione były ławeczki dla odpoczynku albo krzesła. I to wszystko nie było kulturą wazonową lecz wyrastało wprost swobodnie z gruntu.

— Kto mógłby pomyśleć, że na Syberji można spoczywać pod palmami, w cieniu bananów! — zawołał mój towarzysz, zdumiony, usiadłszy wśród

kwiatów pod kwitnącemi drzewami, aby chwilkę odpocząć.

Obejrzeliśmy jeszcze przylegający park obszerny i wróciliśmy do domu, gdzie czekała na nas wspaniała wieczerza, składająca się z kawioru, grzybów, łososia, drobiu, owoców, ciast, win i wódek.

Tymczasem zapadła noc i gdyśmy o 11-tej przybyli do obstalowanych koni, pożegnaliśmy naszego gościnnego gospodarza i pogrążyli się w ponury mrok jadąc dalej.

Była to podróż bardzo uciążliwa. Znajdująca się i bez tego w złym stanie droga, stała się wskutek upadłego przed tem deszczu prawie nie do przebycia. Woźnica bezustannie ćwiczył konie, a ciągle wstrząśnienia nie pozwalały nam nawet myśleć o zaśnięciu. Nad ranem dosięgliśmy znużeni i seni wsi Nowo-Zaimskaja i zajechaliśmy przed jedną chatę, która należała do wspomnianego „przyjaciela” naszego woźnicy. Zupełnie wyczerpani rzuciliśmy się wprost na ziemię, gdzie także spoczywała rodzina gospodarza, i przespaliśmy trzy godziny.

Potem wyruszyliśmy w dalszą podróż. Po 24 godzinnej ciężkiej jeździe, podczas której wcaleśmy nie spali, przybyliśmy we czwartek rano podczas deszczu do miasta powiatowego Iszymu. Z powodu nieprzyjaznej pogody porzuciliśmy pierwotny nasz zamiar zatrzymania się w Iszymie; napiliśmy się herbaty w domu jednego włościanina i pojechaliśmy zaraz dalej. Za miastem przejeżdżaliśmy przez rzadki las brzozowy i minęliśmy tam gromadę ludzi, którzy podążali w tym samym co i my kierunku, z trudem, grzęznąc w błocie. Byli to przewa-

źnie chłopci i kobiety wiejskie; byli jednak między nimi ludzie, posiadający parasole i ubrani po miejsku.

W odległości sześciu kilometrów od miasta, spotkaliśmy procesję wieśniaków syberyjskich. Wielkie krzyże z podwójnymi ramionami, białe i kolorowe chorągwie, olbrzymie latarnie na wysokich drążkach, wznosiły się w górę nad pochodem. Gdy podjechaliśmy bliżej, ujrzeliśmy w pośrodku drogi ciżbę ludzi, tłoczących się naokoło jednego drążka, do którego przytwierdzone było coś podobnego do obrazu w złotych ramach. Drążek miał podstawę drewnianą z rękojeściami ze wszystkich stron. Sześciu włościan, z obnażonemi głowami, dźwigało go. Pocili się oni, postękiwali pod tym ciężarem; prawdopodobnie ramy obrazu były ze złota masywnego lub pozłacanego srebra. Przed obrazem szedł duchowny, otoczony dyakonami; ci ostatni nieśli haftowane chorągwie cerkiewne, krzyże i latarnie, które bardzo były podobne do latarni ulicznych, śpiewali jednotonnie, przyczem od czasu do czasu inni im przywtarzali. Cała procesya mogła się składać z 400 do 500 osób, po większej części kobiet, które nie zdawały się wcale zważać na strugi deszczu.

Pochód powiększał się ciągle wskutek łączenia się z nim coraz nowych przybyszów, do których należeli także niektórzy ze spotkanych przez nas, niedawno piechotą idący ludzie.

Od czasu jak przybyliśmy na Syberyę, nie oglądałem jeszcze tak oryginalnego, przypominającego wieki średnie widowiska. Zdawało mi się, że

przeniesiono mnie w jedenaste stulecie i patrzę na sfanatyzowane przez Piotra z Amiens tłumy, śpieszące z krzyżem i chorągwiami w pochód krzyżowy.

Gdy nas minęła procesya i przebrzmiał już śpiew monotony, spytałem woźnicy, co to miało znaczyć. Z trudem udało mi się otrzymać od niego wyjaśnienie. Dowiedziałem się ze słów jego, że jedna z cerkwi w Iszymie posiada obraz cudotwórczy, i aby ludziom, którym trudno ten obraz odwiedzić, dać możność otrzymania błogosławieństwa przez tę relikwię, corocznie obnoszą obraz po ważniejszych miejscowościach w okolicy, w otoczeniu licznych wiernych. Obecnie obraz wraca po tej podróży okrężnej do cerkwi, co nasz woźnica w krótkich i jędrnych słowach określił: „Matka Boska wraca do domu.”

Mimo deszczu odbywaliśmy dalej naszą podróż w kierunku Tiukalińska. Przenocowaliśmy we wsi Orłowo, dokąd przybyliśmy całkiem wyczerpani, gdyż w ciągu 60 godzin od wyjazdu z Tiumentia zażyliśmy odpoczynku tylko przez cztery godziny, przejechawszy 370 kilometrów. W ciągu nocy wyjaśniło się niebo i nastąpił poranek słoneczny, a powietrze znów pełne było świeżości i woni.

Droga jednak nie przestała być złą, co wynagradzały nam, w pewnej mierze, coraz piękniejsze krajobrazy; im dalej posuwaliśmy się ku południowschodowi, tem obfitsza zieloność pokrywała łąki, grunt stawał się urodzajniejszy i coraz częściej uprawny, wśród pól tu i owdzie rosły brzozy lub wierzby. Stepy zdawały się zasiane kwiatami. Spo-

tykaliśmy świeżo zoraną rolę, to znów pola zbożowe, znaki, że okolica była zaludniona; ale nigdzie nie było widać domu, ani ogrodzenia, choć siedliska ludzkie nie mogły być daleko. Wkrótce się o tem przekonaliśmy. Nagle nasz woźnica pociągnął silnie za lejce, usadowił się dobrze i zaciął konie, zagrzewając je jeszcze okrzykami. Tarantas pomknął naprzód tak, że mi na razie zaparło oddech. Niespodzianie wpadł w głęboką jamę i natychmiast wyskoczył z niej w górę, tak, że ledwie nie zostaliśmy wyrzuceni z siedzeń. Wywnioskowałem ztąd, że wkrótce przybędziemy do miejsca zamieszkałego, bo woźnica syberyjski pokazuje dopiero w bliskości miejsca przeznaczenia, co potrafi. Zawołałem na niego, aby jechał wolniej, ale było to bezskuteczne. Stuliwszy uszy po sobie konie rwały naprzód, jakby chciały uciec przed pożarem stepowym; istny deszcz błota z pod ich kobyt obryzgiwał powóz i nie oszczędził i mnie, gdym się wychylił, chcąc zalecić woźnicy umiarkowanie. Wkrótce ujrzelśmy płot pleciony który ciągnął się po obu stronach na 1½ kilometra i tam, gdzie się krzyżował z drogą, posiadał wrota, było to więc pastwisko wsi. Gdy nasz woźnica z głośnem wołaniem podjeżdżał do wrot, wyszedł ze swojej nawpół zapadłej w ziemię, pokrytej trawą i gałęzmi chaty stróż, człowiek z zaognionemi powiekami u oczu, długą brodą białą i pomarszczoną twarzą. Wyglądał jak Pip van Winkel po śnie 20-stoletnim. Pochylił się przed nami nisko i zdjął z głowy coś, co kiedyś mogło być czapką. Wkrótce zniknął nam

z przed oczu i żalowaliśmy, żeśmy tego wcielenia nędzy ludzkiej nie mogli odfotografować.

Za wrotami, wewnątrz, stał drogowskaz z napisem. Wieś Krutaja. Odległość od Petersburga 2992 wiorsty.—Odległość od Moskwy 2250 wiorst.—42 domy.—97 mieszkańców mężczyzn. — Na blisko 800 metrów szerokiemi, ciągnącem się od wrót do wsi pastwisku gminnem pasło się liczne bydło i owce. Po za kilku wiatrakami leżała wieś, złożona ze zrzuconych prawie domów, pokrytych słomą i drzewem, kilka z pośród nich dźwigało na płaskich dachach warstwę ziemi, na której rosły gdzieniegdzie kwiaty stepowe.

Wołanie naszego woźnicy obudziło ciekawość mieszkańców, wszystko pośpieszyło do okien, aby zobaczyć, czy to przypadkiem nie przyjechał sam gubernator albo nawet jaki specjalny poseł cesarski, skoro tak szumnie wjazd swój odbywa.

Przed domem swego „przyjaciela” zatrzymał konie woźnica i zawołał: „dawaj łoszadiej” (daj konie). Zbiegli się wtedy zleniwiali wieśniacy ze wszech stron, a wśród nich znalazła się jakaś charakterystyczna postać z pomarszczonem obliczem, kędzierzawą szpakowatą brodą i skręconemi w strączki włosami na głowie. Niektórzy byli boso z obnażonemi głowami w „szubach” z dziurawych skór owczych, inni obuci byli przytem w wysokie buty jallowicze, jeszcze inni znowu ubrani byli w brunatne, długopole kaftany, które podtrzymywały zabrudzone przepaski. Towarzystwo całe tłoczyło się naokoło naszej bryki, podczas tego jak woźnica wypręgał konie. Pojawił się wreszcie gospodarz do-

mu i zapytał, czy nie chcemy się napić herbaty, czy też zaraz wolimy ruszyć w drogę. Odpowiedzieliśmy, że chcemy zaraz jechać, na co zawołał do swego syna „Andrzej, jedź na pastwisko i przyprowadź konie!” Młodzieniec skoczył szybko na niesiodłanego konia, którego podprowadził inny chłopiec, i popędził.

Tymczasem zebrani starali się dowiedzieć od naszego woźnicy czegoś bliższego o nas. Wywiady widocznie ich nie zadowolily, gdyż jeden z nich, starzec, skierował do mnie zapytanie, „dokąd nas Bóg prowadzi?” Gdy odpowiadział, że jedziemy do Omska i Semipałatyńska, dało się słyszeć ogólne głośnie „Ach!” Nastąpiło pytanie z kąd jedziemy.

— Z Ameryki—była moja odpowiedź.

Znowu ogólne „Ach!”

— Czy to miasto rosyjskie? — uparcie pytał dalej stary.

— Ameryka nie jest wcale miastem, lecz krajem!—zawołał jakiś ładny chłopak. I brzmiało jak lekcyja, szkolna wyuczona na pamięć, gdy mówił dalej—Ziemia składa się z pięciu części: Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Australia. Rosya stanowi dwie trzecie Europy i połowę Azji.

Więcej wiadomości geograficznych zapewne nie posiadał. Starsi prawdopodobnie nie słyszeli jeszcze nigdy nazwy Ameryki. Młodzian, który właśnie był w Omsku, gdy przywieziono tam zwłoki nieszczęśliwych ofiar podbiegunowej podróży, odbytej na „Jean-net'cie“ nauczał dalej obecnych o Ameryce. Mówił, że Amerykanie, to najmędrzy naród na świecie, jedyni, którzy odważyli się zapuścić na wielkie mo-

rze Lodowate. To nie trafiało do przekonania starcowi i zauważył, że Rosyanie już to samo zrobili, jeśli nawet nie są tak mądrzy jak Amerykanie, stoją jednak nie niżej od ostatnich, jako żeglarze.

Podczas tej, nader ożywionej, zamiany zdań o podróżach podbiegunowych powrócił wysłany młodzieniec z końmi. Zaprzężono je do tarantasa, nasz nowy woźnica zajął siedzenie i spytał nas, czyśmy gotowi do jazdy, potwierdziliśmy, i z głośnem „nu-u!” popędził konie. Wstrząśnienie, bryznięcie błota ulicznego, zadźwięczały dzwonki u konia—i wkrótce znikła nam wieś z oczu.

W podobny sposób odbywa się przyjazd i odjazd we wszystkich wsiach między Tiumeniem i Omskiem. Większość tych wsi wywarła na nas wcale nieprzyjemne wrażenie. Wszędzie dwa rzędy nadbutwiałych domów drewnianych, błotniste ulice, nigdzie niema roślinności, nawet trawników. Czuje się ulgę, gdy się podobną wieś pozostawia za sobą i wjeżdża napowrót na szerokie, przewiewne stepy, gdzie słodkie wonie przesycają powietrze, gdzie dochodzi do uszu wesoly szczebiot ptactwa i zielona murawa kojąco działa na oczy, gdzie dzikie róże i jaskry kwitną, gdzie pstrzą się hyacenty i lilie tygrysowate. Między wsiami Krutaja i Kałmaka jechaliśmy stepem, który obficie pokrywały te dzieci wiosny; wysiadłem z pojazdu, aby pełną piersią odetchnąć tą wonną atmosferą. Naokoło panowała głęboka cisza, słychać było tylko brzęczenie pszczół, strzykanie koników polnych w trawie i żalosne nawoływanie kurka stepowego, który krążył naokoło gniazda myszy polnych.

Przez cały piątek jechaliśmy w ten sposób, czasem spotykaliśmy podróżnego na wozie zabryzganym błotem, albo mijaliśmy oddział idących ze słańców, którzy maszerowali po błotnistej drodze. Często widywaliśmy włościan w ich telegach, jadących do wsi sąsiedniej lub wyjeżdżających na swoje pola.

Część ta prowincyi tobolskiej jest bogatsza niż można by sądzić po zewnętrznym wyglądzie jej wsi. Przebyte przez nas cztery okręgi: Tiumeński, Jalutor-ski, Iszimski, Tiukaliński, posiadają ludności 650.000 dusz i mają 1.618.800 hektarów gruntu uprawnego. Ilość bydła włościańskiego wynosi 1.500.000 sztuk; dwie trzecie wynoszące 10.572.000 hektolitrow zbioru zboża z prowincyi idzie ztąd na wywóz.

Corocznie odbywa się w tych czterech okręgach 220 jarmarków z dość znacznym obrotem. Z tej krótkiej statystyki, której dane zebrałem na miejscu, doszedłem do przekonania, że ta prowincya mogła by się stać jedną z najwięcej kwitnących w państwie, gdyby administrowało nią sumiennie i zdjęto z niej prawdziwą klątwę, jaką stanowi jej charakter kolonii karnej.

W Piątek popołudniu zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek w Tiukalińsku i zaopatruwszy się w cztery „wolne konie,“ ruszyliśmy w dalszą podróż po wyboistej i błotnistej drodze, która wiedzie z Tiukalińska do Bekiczowa, na krańcu wielkich stepów bagnistych Baraby. Tu dręczyły nas wielkie, szare muchy, kłujące tak dotkliwie, że byliśmy zmuszeni osłaniać sobie twarz i ręce i odpędzać wciąż owady gałęziami. To znowu naraziło

nas na noc bezsenną—dzięki Bogu, ostatnią podobną. W niedzielę 4 lipca dojechalśmy nakoniec, cali błotem pokryci, do Omska.

Omsk liczy około 30.000 mieszkańców i jest głównym miastem „oblasti“ (terytoryum) Akmolińskiej, siedliskiem zarządu stepowego; większość mieszkańców stanowią urzędnicy. Do godniejszych uwagi budowali należą: szkoła kadetów, dom gubernatora, zarząd policyi i cytadela. Ulice są niezabrukowane, domy po większej części drewniane, naturalnie nie brak licznych cerkwi z ich kolorowemi, błyszczącemi kopułami. Gdyby mi kazano w krótkich słowach opisać to miasto, to powiedziałbym: Omsk jest miastem, mającem 30.000 mieszkańców, największym gmachem jest w nim szkoła kadetów, najpiękniejszym—zarząd policyi; jest miastem, nie posiadającym ani gazety, ani biblioteki, gdzie połowa mieszkańców nosi mundur cesarski i uważa za swe zadanie rządzić drugą połową. W jaki sposób to się dzieje, da się w kilku słowach scharakteryzować, które jeden roztropny i inteligentny obywatel tutejszy wyraził do mnie przy pożegnaniu! „Jeśli pan, panie Kennan, uważa za potrzebne wspomnieć moje nazwisko w swoich pismach, to nie mów pan nic o mnie dobrego.“ Dlaczegoż to?” spytałem zdumiony. „Pańskie opowiadania nie będą, prawdopodobnie przyjemne dla rządu i gdy pan wspomni o mnie z pochwałą, to urzędnicy będą mnie jeszcze więcej, niż dotychczas dręczyli. Prośba moja wyda się panu pewno bardzo dziwną, ale proszę pana o to, jako o jedyną przysługę.“ To zwierzenie nastąpiło nieco później, przy naszym powro-

cie z Syberyi wschodniej, gdym mu zakomunikował niektóre z naszych spostrzeżeń i odkryć.

Nie wiele było w Omsku rzeczy nas interesujących: małe muzeum towarzystwa geograficznego, które zwiedziliśmy dzięki pośrednictwu pułkownika Piewcowa i kolonia zesłańców pod miastem, gdzie mieszkają oni w nędznych, na w pół pod ziemią leżących chatach. Pytałem o więzienie, w którym był więziony przez półtora roku znakomity powieściopisarz rosyjski Dostojewskij gdzie go dwukrotnie oświczono knutem; było ono oddawna już zwalone. Nie dziwi mnie, że rząd kazał rozebrać te mury, które widziały tyle ludzkiej nędzy i okrucieństwa, jakie Dostojewskij w swych „Pamiętnikach z domu umarłych“ tak porywająco opisał. Chętnie byłbym zwiedził obecne więzienie, ale musiałem się tego wyrzec, gdyż gubernator, któremu oddaliśmy wizytę i prosili go o pozwolenie, przyjął nas tak niegrzecznie, żeśmy, nawet nie zajmwszy miejsc, natychmiast opuścili ekscelencyę.

Wypocząwszy po trudach przebytej drogi, porzuciliśmy Omsk we środę 8 lipca, aby trójką koni i z woźnicą kozakiem udać się do Semipalatyńska. Droga wiodła wzdłuż prawego brzegu Irtysza, przez kilka wsi podobnych do tych, jakie już widzieliśmy, ale tu zamieszkują je kozacy, zmuszeni przez rząd do osiedlenia się tutaj; zdarza się to często w okolicach pogranicznych, gdzie potrzeba odpierać najścia nieprzyjaciół lub napady band rabusiów obcych. W ten sposób powstały w minionych stuleciach pogranicza wojskowe nad Terekiem przeciwko góralom kaukazkim i nad Irtyszem przeciwko

kirgizom. Plemiona te są obecnie zupełnie już uśmierzone, kolonie jednak pozostały i kozacy mieszkają dalej tam, gdzie ich ojcom kiedyś nakazano się osiedlić. Są to zręczni ludzie, których można używać do wszelkich poleceń. Między Omskiem i Siemipałatyńskiem znajduje się 30 do 40 tych kolonij kozackich i równa ilość między Siemipałatyńskiem i górami Altajskimi.

Po przejechaniu przez niewielką przestrzeń, stepy zmieniały swój wygląd. Znikł przepych łąk kwiecistych, jaki nas zachwycał dotąd; tylko rzadka spotykało się trawniki, gdyż gorące promienie słońca wypaliły wszystko. Gaje brzoźowe, które krajowi na północ od Omska nadawały pozory parku, stawały się coraz rzadsze, brak było zupełnie pól uprawnych; stepy zamieniały się coraz więcej na pustynie.

Po przebyciu kilku stacyi w drodze do Tom-ska mieliśmy sposobność po raz pierwszy zwiedzić „aul“ czyli obóz namiotów kirgizkich; koczują oni ze sweni stadami po równinach Syberyi zachodniej od morza Kaspjskiego do gór Altajskich. Więcej niż trzy czwarte zaludnienia prowincyi stepowych należy do tych szczepów nomadów.

„Aul“ składa się z trzech lub czterech „kibitek“, okrągłych, szarych namiotów z filcu, które od strony drogi rozbijają jeden przy drugim. — Żadna ścieżka nie prowadziła do tego obozu i małe, szare namioty wydały mi się tak osamotnione i oddalone od wszelkich interesów ludzkich, świata cywilizowanego, jak wątle czółna na szerokiej powierzchni oceanu.

Ukazanie się nasze zaniepokoiło ich mieszkańców, widocznie odwiedziny w obozie kirgizkim należały do rzadkich wypadków. Wylękle, ciemnobrunatne, półnagie dzieci pouciekały do namiotów, gdy dostrzegły zbliżanie się naszego tarantasa, kobiety wyjrzały, przyjrzały się nam niepewnym wzrokiem i ukryły się śpiesznie w namiotach. Mężczyźni którzy przeciw nam wybiegli gromadą, również wydawali się mocno zdziwieni naszą wizytą i nieco wystraszeni. Nasz woźnica jednak uspokoił ich kilku kirgizkimi słowami. Starzec w czapce czerwono-żółtej, zapewne patryarcha, zaprosił nas do namiotu. Mógł namiot ten mieć około trzech metrów wysokości i pięciu metrów w przecięciu. Szkielet namiotu był z poczernionego od dymu drzewa i kończył się u góry okrągłą kopułą, obciążony był grubym, szarym filcem. Tworzące dach, nieco wygięte pręty biegingy ze środka, znajdującego się w centrum kopuły, pierścienia drewnianego, i opierały się na kracie drewnianej, która tworzyła okrągłą ścianę namiotu; wejście zamykały drzwi, wiszące na zawiasach. Wspomniany pierścień w środku kopuły obejmował otwór, który służył za komin i ułatwiał dostęp powietrza.

Pod tym otworem, na jednym płaskim kamieniu, stanowiącym trzon, żarzyło się ognisko, przy którym stały naczynia kuchenne. Wazkie tapczany z grubych bierwion, dwie albo trzy na niebiesko pomalowane drewniane skrzynie, niski stół, na którym stały brudne, drewniane statki do jedzenia i starożytna kruża metalowa, na ścianie kilka naczyń z kory brzoźowej, uprząż, strzelba skałko-

wa, jaskrawo pomalowane siodło drewniane, okute w srebro strzemię i torba do siodła z dywanowej tkaniny—wszystko to razem stanowiło prawie całe urządzenie namiotu.

Pierwszem przykazaniem Kirgiza jest gościnność, wyrażająca się przedewszystkiem w poczęstowaniu kumysem. Gdyśmy usiedli przy ognisku na filcowym kobiercu, podeszła jedna z kobiet do naczynia z kumysem, które się przedstawiało w kształcie, przytwierdzonego do ściany namiotu, brudnego worka ze skóry końskiej i zamieszała palczką jego zawartość. Potem napełniła również brudne naczynie drewniane tym narodowym napojem kirgizkim i ofiarowała je nam. Jest on smaczniejszy, niż przypuszczałem i byłby pokrzepiającym napitkiem, gdyby był ochędźniej trzymany i chłodniejszy. Aby się przypodobać gospodarzom wypróżniłem całe naczynie, ale widocznie nie doceniłem miary, którą należy wypić, by zadowolić gospodarza kirgizkiego, gdyż zaledwie postawiłem opróżnione naczynie, gdy je napełniono na nowo. Zapewniłem, że nie mogę pić więcej i zaproponowałem, aby odstawić napój na stronę dla nieobecnego mego towarzysza Frosta, na co się zgodzono. By rozweselić naszych gospodarzy, kazałem przynieść z powozu moją lutnię i zaśpiewałem pieśń: „Jest gospoda w mieście“.—Mister Frost, który nadszedł tymczasem i począł szkicować sześcioletniego synka gospodarstwa, chciał wymówić się od poczęstunku, zaznaczając, że nie może jednocześnie pić i rysować. Wymówka była dobra, ale nie doprowadziła do celu, gdyż zaledwie wziął się napowrót do szkicowania, matka dziecka,

zaniepokojona spojrzeniami, jakie artysta rzucał na swój model, rzuciła się na obdartego chłopczyka, pokryła go pocałunkami i oddaliła się z nim pośpiesznie, jakby chcąc go uchronić od złych spojrzeń czarodzieja. Ten przypadek źle wpłynął na usposobienie wszystkich, którego nie mogła nawet poprawić moja piosenka; pożegnaliśmy się więc niebawem.

Co za baśnie zapewne krążyły potem o nas po stepie kirgizkim! Jak sobie opowiadano, bezwątpienia, o tych dwóch gjaurach, co wcisnęli się do namiotu jednego wiernego z podstępłą życzliwością, jak jeden śpiewał pieśni bezbożne, a drugi usiłował złem spojrzeniem opętać dzieci i zawładnąć ich duszami, podczas tego, jak przerysowywał na papier ich ciała!

Jechaliśmy potem w kierunku południowym przez niezmierzone stepy Irtysza w ciągu czterech dni i nocy. Czasami zrywaliśmy u brzegu, obrosłego sitowiem jeziora, białe lilje wodne, szkicowali samotną mogiłę kirgizką, popijali kumys pod namiotami tych gościnnych nomadów. Droga prowadziła teraz płaską doliną Irtysza, pokrytą liściastą, wysoką trawą stepową, falująca pod powiewem wiatru jak morze, na którym jasno kwitnące krzewy wyobrażały pianę na falach; tam dalej droga wiodła przez step wzniesiony, gdzie zniszczył wszelką vegetację żar słońca, to znowu spadała w wilgotną dolinę, wijąc się naokoło jeziora stepowego, gdzie wzrok zachwycony spoczywał na różach i złościeniach, jaskrach i goździkach, hiszpańskiej wyce, i przepysznych ciemno-błękitnych dzwonek.

W piątek przejeżdżaliśmy przez małe miasteczko kozackie Pawłodar. Gorąco było trudne do zniesienia, nasz termometr pokazywał o godzinie 1-szej w południe 91 stopni Fahrenheita. Bez surdutów i kamizelek siedzieliśmy pod skórzaną budą naszego tarantasa, wachlując się kapeluszami i dysząc ciężko, a walcząc przytem z wielkimi zielono-okiemmi muchami końskimi. I gdyśmy tak rzucaли spojżenia na szeroki, zalany światłem słonecznym step, zdawało nam się nie do wiary, że jesteśmy w Syberyi.

Nad samym Irtyszem leżą w znacznej liczbie wsie kozackie; grunt jest tutaj wilgotny i urodzajny i roślinność rozwija się bujnie. Te korzystne warunki są przyczyną, że wsie te posiadają sady i ogrody.

Było nam bardzo przyjemnie, po przejechaniu więcej niż 30 kilometrów spalonym stepem, wśród lipcowego upału, odpoczywać w tych małych oazach, gdzie w cieniu drzew przepływa leniwo jakaś wazka odnoga Irtysza, gdzie świeża zieleń łądyg i liści melonów stanowi ładny kontrast z purpurą kwiatów makowych, gdzie kobiety i dziewczęta płuczą w rzece swą bieliznę i przy nich pół nagie dzieci pluszczą się w chłodnej wodzie.

Ostatni dzień naszej podróży do Siemipałatynska jechaliśmy nocą. Jechaliśmy przez puste, gołe stepy, które w zmierzchu nocnym wyglądały na pustynię.

Po północy zasnąłem i obudziłem się dopiero około 4-tej rano, właśnie w chwili, gdyśmy w zmroku porannym mijali wielki, oświetlony latarniami;

dom. Był to „tiuremnyj zamok“, twierdza, więzienie Semipalatyńska. Wkrótce wyjechaliśmy na szeroka, pustą ulicę, otoczoną drewnianymi domami, których okienice były pozamykane i których wysokie dachy odcinały się wyraźnie w półmroku poranku. Ulica pokryta była piaskiem lotnym, który pod kopytami naszych koni wzbijał się kurzawą, przesuwaliśmy się po nim cicho, jak gondola na lagunach weneckich.

Jazda po tej pustej ulicy miasta, które wyglądało jak wymarłe, miała w sobie coś uroczystego, tajemniczego. Tylko w oddali słychać był stukot przygłuszony kołatek stróży nocnych. Woźnica nasz zatrzymał się wreszcie przed dwupiętrowym, otynkowanym domem i objaśnił, że to jest „Hotel Sybir“. Musieliśmy pukać do drzwi dobrą chwilę, zanim je otworzył na wpół zaspany kelner i zaprowadził nas do gorącego pokoju na drugim piętrze, gdzie położyliśmy się spać w dalszym ciągu na podłodze.

Siemipalatyńsk leży na prawym brzegu Irtysza w odległości 760 kilometrów od Omska i 1450 kilometrów od Tiumentia; posiada on około 15,000 mieszkańców Rosyan, Kirgizów i Tatarów i jest siedliskiem zarządu prowincjonalnego. Jako miasto handlowe posiada on pewne znaczenie, jest bowiem jednym ze znaczniejszych punktów traktu karawanowego, który przechodzi tędy z Taszkientu i Azyi środkowej, panując nad handlem stepów kirgizkich. Większą część prowincyi zajmują pastwiska; z ogólnej cyfry 547,000 mieszkańców, 497.000 są nomadami, którzy mieszkają w 111.000 filcowych

namiotach i posiadają 3 miliony sztuk bydła, w czem 30.000 wielbłądów. Rocznie wychodzi z miasta 40 do 50 karawan do Mongolii i Azyi środkowej z towarami rosyjskimi wartości 200 do 250.000 rubli. Ponury wygląd miasta pochodzi z braku zieloności i kwiatów, z powodu zbutwiałych domów drewnianych z ulicami, zasypyanemi piaskiem lotnym, którym wiatr zasypuje dom nieraz na cztery do pięciu stóp w górę od podwalin. Zdawało mi się, że się znajduję w jakiej mahometańskiej osadzie na pustyni, to wrażenie powiększały meczety tatarskie z ich brunatnemi minaretami, mułlowie w białych turbanach z długimi brodami, dwu-garbne wielbłądy, na których siedzieli bronzowi Kirgizi.

W poniedziałek rano oddałem wizytę gubernatorowi generałowi Ceklińskiemu i wręczyłem mu pisma polecające. Ucieszyło mnie, że widocznie nie otrzymał on od rządu żadnych wiadomości ani wskazówek co do nas. Przywitał mnie grzecznie, pozwolił na zwiedzenie więzienia, obiecał przysłać przewodnika policyjnego, w którego towarzystwie mogliśmy obejrzeć wszystko, co było godniejszego uwagi i przyrzekł mi także dać listy polecające do wszystkich urzędów w prowincyi.

Z domu gubernatora udałem się, wskutek jego zalecenia, do biblioteki, mieszczącej się w prostym domu drewnianym, w środku miasta. Znalazłem tu małe muzeum antropologiczne, wygodną czytelnię z wielu gazetami rosyjskimi, doborową biblioteczkę, w której ze zdumieniem ujrzałem dzieła Spencera, Buckle'a, Leves'a Stuarta, Milla, Taine'a, Lubbocka, Taylora, Darwina, Lyella, Tyndalla,

Alfreda, Musseta, Wallace'a, i jeszcze wielu innych, prócz tego romanse i powieści Scotta, Dickensa, Marryata, George Eliota i t. p. Biblioteka była dobrana doskonale, zwłaszcza dział naukowy i dowodziła ze ten, który ją tworzył, posiadał smak i kompetencję. Prawda, że większość tych dzieł naukowych były to „oczyszczone” wydania rosyjskie. Prawie każdy rozdział Locky'a „Ilistoryi nacyonalizmu” był powykreślany. Większość innych dzieł naukowych również ulegała kontroli i wiele ustępów było zamazanych.

Z biblloteki popłynąłem na promie, wzdłuż brzegów Irtysza; prom ten utrzymuje komunikację między Semipałatyńskiem i pobrzeżnemi osiadłościami kirgizkiemi. Prom zatrzymuje się przy lesistej wyspie, na którą można się dostać po kładce, lub poprostu brodząc przez płytką wodę.

Przedemną udało się tam kilku Kirgizów ze trzema lub czterema wielbładami, z których jeden zaprzężony był do telegi. Przybywszy nad brzeg, wyprzęgli oni zwierzę, wladowali mu na grzbiet próżny wóz kołami do góry i wpędzili je w wodę. Był to wielbłąd baktryjski z dwoma ruchomemi garbami, bardzo komiczne zwierzę same, z siebie, ale wydaje się jeszcze śmieszniejszym, gdy z wózkiem czterokołowym na grzbiecie, przechodzi wodę.

Przeciwniegiy brzeg Irtysza zajmują obszerne stepy pustynne, które rozciągają się daleko na południe. Gdy tam przybył, wyladowano właśnie złożoną z wielbłądów karawanę, która przybyła z Taszkientu i przywiozła jedwabie, kobierce i ró-

zne inne towary z Azyi środkowej na jarmark do Siemipalatyńska.

Dopiero nad wieczorem wróciłem do hotelu. Tu zastałem mistra Frosta, który dzień cały prze-walał się po tartarskiej dzielnicy miasta, w celu zebrania szkiców. Wieczór był duszny; siedzieliśmy aż do 11 godz. bez surdutów i kamizelek przy otwartych oknach i przysłuchiwali się dziwnym od-głosem, które dochodziły do nas z dzielnicy tatar-skiej. Była to ostatnia noc mahometańskiego rama-zanu (dni postu, podczas których jeść i używać przyjemności dozwala się tylko nocą) i wszyscy Muzułmanie aż do północy byli w ożywionym ru-chu. Wśród ciszy nocnej słyszeliśmy często także kołatki stróżów nocnych i rozciągle żalosne nawoły-wania muezzimów, którzy wzywali do modlitwy z wysokich minaretów.

We wtorek rano ujrzeliśmy ulice, ożywione świętecznie odzianymi Kirgizami i Tatarami; był to pierwszy z trzech dni świąt, które następują po poście. O godz. 9-tej odwiedził nas urzędnik po-licyjny, który z rozkazu gubernatora miał nam słu-żyć za przewodnika przy oglądaniu miasta. Zwie-dziliśmy wielki meczet tatarski, oddali wizyty kil-ku mułom i przełożonym tatarskim.

Nasz przewodnik zapytał, czy nie mamy chę-ci zobaczyć bój zapaśniczy między Tatarami i Kir-gizami, na co zgodziliśmy się z radością. Dorożka zawiozła nas na plac wolny po za miasto, gdzie właśnie zebrał się tłum ludzi. Widzowie, prawie wyłącznie Kirgizi i Tatarzy, tworzyli koło na 10 metrów w przecięciu. Wewnątrz siedzieli w kucz.

ki w kilka rzędów ludzie, za nimi stali inni i znów z tyłu siedziało wielu na koniach, którzy do pewnego stopnia przedstawiali jakby publiczność galleryową. Policyant wprowadził nas do środka do pierwszych rzędów, gdzie usiedliśmy na piasku, wystawieni na gorące promienie słońca i pogrążeni w pyłe, który unosił się z pod stóp walczących. Obecni dzielili się na dwie partye wrogie, które stały i siedziały oddzielnie; my znajdowaliśmy się po stronie Kirgizów, naprzeciwko nas byli Tatarzy. Każda partya miała swych dwóch nadzorców boju, którzy odziani byli w zielone „chałaty” i w ręku trzymali trzciniowe laski. Dwóch ze strony Tatarskiej wybrało ze swoich rzędów zapaśnika i zażądało od przeciwników, by wystawili swego, co się też stało.

Młody, przystojny Kirgiz w białej czapce, przepasany był czerwonym pasem, stanął przeciwko rodowitemu Tatarowi w żółtej czapce i zielonym pasie. Przez chwilę obserwowali się wzajemnie, potem nastąpił napad, przyczem każdy pochwycił swego przeciwnika za pas i drugą ręką usiłował go schwytać za łokieć, ramię lub barki; głowy ich stykały się mocno ze sobą, ciała tworzyły w zgięciu kąta prawie prosty, stopy były w tył cofnięte, aby przeciwnik nie mógł stanąć na żadnej nodze. W tej postawie starał się każdy odkryć słabe miejsce przeciwnika, aby go przewrócić na ziemię. Przez czas jakiś nie udawało się żadnemu osiągnąć przewagi. Żyły na skroniach u nich nabrzmiały, z ciemno-brązowych twarzy lał się pot. Wreszcie Tatar wygiął się w tył, ciągnąc za sobą

silnie Kirgiza i gdy ten stracił równowagę, zadał mu taki cios stopą, że choć nie spowodował on jego upadku, ale nim mocno zachwiał. Szybko uwolnił się wtedy Tatar z objęć przeciwnika, ujął go po nad biodrami i rzucił go, stęknawszy, po przez głowę, na ziemię. Biedny Kirgiz padł tak gwałtownie, że krew puściła mu się nosem i ustami; ale zdołał bez pomocy się podnieść i zataczając oddalić ku swoim współtowarzyszom, przeprowadzony głośniami okrzykami tryumfu przeciwników.

Podniecenie dosięgło swego szczytu, wystąpili do pojedynku nowi zapaśnicy. Choć gorąco, pył i wyziewy gęstej i niezbyt ochędożnej cizby były prawie nie do zniesienia, pozostaliśmy jeszcze czas jakiś, przypatrując się temu interesującemu igrzysku. Dla utrzymania porządku obecni byli dwaj policyanci, co było zupełnie zbyteczne, gdyż wszystko odbywało się w najlepszym porządku. Zwycięzeni nie okazywali rozgoryczenia, a nawet śmieli się sami często ze swego niepowodzenia. Kirgizi ulegali po większej części; Tatarzy nie byli, być może, silniejsi, ale zwinniejsi od swych przeciwników, nomadów, i zwyciężali dwa razy na trzy pojedynki. Gdyśmy o 5-ej godz. opuszczali miejsce widowiska, igrzysko ciągnęło się dalej.

Spotkanie z zesłańcami politycznymi.

Nasze pierwsze spotkanie z zesłańcami politycznymi nastąpiło przypadkowo, przy pośrednictwie pewnej osoby urzędowej. Do wielu urzędników, z którymi zawarliśmy znajomość na Syberyi, należał — naturalnie wystąpił no tutaj pod nazwiskiem fikcyjnem — niejaki pan Pawłowski, człowiek rzeczywiście inteligentny, który przez czas znaczny zajmował wybitne stanowisko w służbie rządowej rosyjskiej i który nam się przedstawił jako grunto-wny znawca stosunków syberyjskich. Pan Pawłowski już przy pierwszym poznaniu wywarł na mnie wrażenie wykształconego, czującego po ludzku i liberalnego człowieka, ale wahałem się jeszcze rozpytywać się go o stosunki wśród zesłańców politycznych, gdyż udzielono mi w Petersburgu rady, aby być bardzo ostrożnym w takich rzeczach, rząd bowiem na podobne badania patrzy nader nieprzychylnie. Zamierzyłem tedy zamiary moje urzeczywistnić pokryjomu. Nie wiedziałem również, że urzęd-

nicy rosyjscy często sympatyzują z zesłańcami politycznymi i nigdy nie przypuszczałem, że mi jeden z grona takich urzędników będzie pośredniczył w zawarciu z ostatnimi znajomości. Unikałem w mych rozmowach z panem Pawłowskim poruszania tego przedmiotu, on więc nie miał powodu do przypuszczenia, że się interesuję ruchem rewolucyjnym w Rosyi i zesłańcami politycznymi.

Pewnego popołudnia, gdyśmy rozmawiali właśnie o stosunkach amerykańskich, pan Pawłowski zwrócił się do mnie nagle z zapytaniem: — Czy pan, panie Kennan, poświęcił nieco uwagi napływowi tutaj młodych ludzi?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co ma znaczyć podobne zapytanie i prosiłem o wyjaśnienie.

— Mam na myśli — mówił dalej — wielu młodych ludzi i kobiety, które wysyłane są teraz z Rosyi europejskiej tutaj; zdawało mi się, że to powinny obudzić w panu zainteresowanie?—Patrzył na mnie przytem poważnie i znacząco, jakby chciał wybadać co mam w duszy, wtedy to zrozumiałem: robi aluzyę do zesłańców politycznych. Mimo to nie zapomniałem na chwilę, że mam przed sobą urzędnika rosyjskiego i odpowiedziałem nader ostrożnie, że słyszałem o tem wiele, ale nie jeszcze sam nie zaobserwowałem.

— Wydaje mi się — ciągnął on dalej, z takim samym wiele mówiącym spojrzeniem, jak przedtem — że ruch ten jest nader godnym uwagi zjawiskiem socyalnem, powinienby obudzić zainteresowanie obcego podróżnika.

Zauważyłem, że interesują mnie nader silnie wszystkie zjawiska socyalne w Rosyi i zapewne poświęcałbym temu ruchowi jaknajwięcej uwagi, gdybym był wiedział o jego istnieniu tyle, co obecnie.

— Wielu z tych ludzi posiada duże zdolności: mężczyźni mają wykształcenie wyższe, a kobiety godny podziwu charakter—mówił dalej.

— Słyszałem o tem. Byłoby dla mnie interesującym poznać tych ludzi bliżej.

— Zapewne. Są to mężczyźni i kobiety, które, w innych warunkach, mogłyby duży pożytek przynieść ojczyźnie. Dziwi mnie, że dotąd ci ludzie nie wzbudzili w panu zaciekawienia.

W ten sposób sondowaliśmy się wzajemnie przez dobrą chwilę, każdy z nas starał się wybać prawdziwe przekonanie drugiego, ukrywając przez ostrożność własne. Wreszcie zdołałem ze słów jego i wyrazu twarzy wywnioskować, że poświęcał sympatyczną uwagę „młodym mężczyznom i kobietom, które wysyłane są teraz z Rosyi europejskiej, tutaj”, ale że niema śmiałości otwarcie tego wyjawić, zanim nie [upewni się, że jestem godzien jego zaufania. Mimo to byłem wciąż ostrożny, gdyż obawiałem się, że te wynurzenia mogły być podstępem ze strony urzędnika rosyjskiego w celu wyciągnięcia ze mnie przyznania się do rzeczywistego celu naszej podróży syberyjskiej. Ze urzędnik rosyjski może się w ten sposób przychylnie wyrazić o wrogach rządu, wydawało mi się trudnem do wiary i budziło we mnie podejrzenia.

Znużony tą grą słów, rzekłem w końcu otwarcie:

— Pan ma na myśli, być może, zesłańców politycznych? Czy to ci młodzi ludzie, o których pan napomknął?

— Tak! — odpowiedział — myślę, że mnie pan rozumie. Mojem zdaniem, zesłanie na Syberyę tak znacznej liczby młodzieży jest zjawiskiem, które może zwrócić uwagę podróżnika.

— Zapewne! Ale, jak dowiedzieć się czegoś o tem bliższego? Nie wiem, gdzie zesłańcy polityczni przebywają i gdzie z nimi można zawrzeć znajomość. Słyszałem także, iż rząd nie patrzy przychylnie na komunikowanie się z zesłańcami.

— Zesłańców politycznych znaleźć łatwo—odpowiedział pan Pawłowski—jest ich tutaj dosyć i nie panu nie przeszkadza zawiązać z nimi znajomość, jeśli się to panu podoba. W samym Siemipalatyńsku jest ich od 30 do 40¹⁾, chodzą oni po ulicach tak, jak inni ludzie, dlaczegóż nie mógłby się pan z nimi przypadkowo spotkać.

Gdy nieufność obustronna znikła, wkrótce nastąpiło między nami dobre porozumienie. Przekonałem się, że jego słowa sympatyczne nie były żadnym podstępem i on również przyszedł do przeświadczenia, że posiadam dość rozsądku i taktu, by o jego wynurzeniach zamilczeć. Dałem mu do poznania otwarcie, że odczuwam antypatyę do nihilistów, oświadczyłem mu, że mam ich za tanatyków,

¹⁾ Była to cyfra za wysoka; znajdowało się ich tam tylko 22. w tem cztery kobiety.

których dziki sposób myślenia dla każdego państwa musiałby być niebezpiecznym.

— Wcale nie! — rzekł na to; — są to rozumni i szczególni ludzie, którzy nam tu nie sprawiają żadnych kłopotów; gubernator traktuje ich także życzliwie.

W ciągu naszej rozmowy dowiedziałem się, że wszyscy zesłańcy polityczni w Siemipalatyńsku, skazani zostali nie z mocy wyroku sądowego, lecz na zasadzie dekretu cesarskiego lub rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych. Termin ich wygnania oznaczony był na dwa do pięciu lat, po których upływie mogli oni, w razie, jeśli władze syberyjskie były z nich zadowolone, na własny koszt wracać do miejsc rodzinnych. Niektórzy znaleźli w Siemipalatyńsku zajęcie i zarabiali na swe utrzymanie, inni odbierali zapomogi od swych krewnych i przyjaciół z domu, pozostali wreszcie otrzymywali od państwa wyznaczone dla zesłańców kwoty: ludzie z uprzywilejowanych klas społeczeństwa po sześć rubli, a inni po dwa ruble siedemdziesiąt kopiejek miesięcznie.

-- Naturalnie—mówił pan Pawłowski—takie kwoty są za drobne dla zaspokojenia potrzeb życiowych. Za dziewięć kopiejek na dzień nikt nie wyżyje i gdyby zamożniejsi nie wspierali biednych, to niedostatek byłby jeszcze większy, niż obecnie. Większość są to ludzie bardzo inteligentni i gubernator Cekliński pozwala im trudnić się udzielaniem lekcji, chociaż to wedle prawa nie jest zesłańcom dozwolone. Kobiety trudnią się także szyciem i haftowaniem i zarabiają w ten sposób nieco pieniędzy.

dzy. Wszyscy mogą wysyłać listy i otrzymywać je, czytać dozwolone książki i gazety i posiadają w znacznej mierze swobodę osobistą, chociaż znajdują się pod nadzorem policyi.

— Jakie są przestępstwa tych ludzi?—spytałem.—Czy byli oni spiskowcami?

— O, nie—odpowiedział pan Pawłowski z uśmiechem—byli oni tylko „niebłagonadziejni” (nie budzący zaufania). Niektórzy należeli do związków zabronionych, inni posiadali lub rozpowszechniali książki zakazane, znowu inni przyjaźnili się z ludźmi, których uznano za przestępców politycznych. lub też uczestniczyli w zamieszkach studenckich. Większość to zesłańcy administracyjni, t. j. ludzie, których rząd uważał za potrzebne wydaląć z miejsc zamieszkania i poddać ich nadzorowi policyi w jakiej innej miejscowości w państwie. Właściwi spiskowcy, mężczyźni i kobiety, którzy brali udział w buntowniczych działaniach, zostają wysyłani do odleglejszych okolic Syberyi i muszą tam wykonywać roboty przymusowe. Być wysłanym do prowincyi stepowych uchodzi za karę lekką, która stosuje się tylko do zesłanych w drodze administracyjnej.

Zapytałem o charakter zesłańców politycznych.

— Nie mógłbym powiedzieć o nich nic złego. Zresztą, jeśli się pan nimi interesuje, to dopomogę panu do zapoznania się z nimi. Będzie pan mógł łatwo wyrobić sobie o tem własne zdanie.

Oświadczyłem, że podobna znajomość byłaby dla mnie bardzo pożądaną, zaproponowałem mi więc, abyśmy niezwłocznie odwiedzili pewnego młodego zesłańca, nazwiskiem Łobonowski, który obecnie maluje kur-

tynę dla małego teatru miejskiego. — Jest to rodzaj artysty — dodał pan Pawłowski — i narysował kilka szkiców z Syberyi. Pan rysuje sam także i zbiera podobno szkice, nie więc w tem nie będzie dziwnego, jeśli pan będzie sobie życzył zobaczyć i jego roboty.

— Zapewne! Szkicować lubię nadewszystko, i kurtyny teatralne także interesują mnie, choćby nawet malarz był nihilistą.

Powóz pana Pawłowskiego stał przed domem, pojechaliśmy do artysty, który wykończył kurtynę.

Dziś, gdym przez cały rok utrzymywał stosunki z zesłańcami politycznymi, zaledwie jest dla mnie możliwem uprzytomnić sobie przekonania, jakie miałem przedtem o tych ludziach. Uważałem tych nihilistów za obłąkane, pół wykształcone tępe głowy, za fanatyków, zawsze zdolnych do poświęcenia siebie na ofiarę, ale także za osobistości z szalonymi pojęciami o państwie i społeczeństwie, obdarzone nader nieznaczną dozą tego, co nazywamy zdrowym rozsądkiem u ludzi. Nawet po tem, co mi p. Pawłowski powiedział, spodziewałem się jednak zobaczyć w malarzu kurtyny osobnika z długimi włosami i dzikim wzrokiem, od którego tylko przekleństwa na rząd usłyszeć można i który gotów będzie chwalić się przedemną zabójstwem cesarza Aleksandra II.

Dom drewniany, w którym znajdował się warsztat artystyczny p. Łobonowskiego, nie był przez nikogo więcej zamieszkiwany. Gdyśmy tam weszli, ujrzałem wielki kawał płótna, który pokrywał całą ścianę i blondyna lat 30-tu, ubranego w brunatny ko-

styum płócienny z pendzlem i paletą w rękach. Był smukły, średniego wzrostu, z obejściem człowieka wykształconego. Oczy miał jasno - niebieskie, gęste włosy blond, okalające wysokie czoło. Pełna broda jasna nadawała foremnej głowie wyraz godności męskiej. Otwarta jego, dobronudszna twarz wykazywała łatwość do pobudzenia wrażliwość, ale zarazem i moc charakteru oraz umiejętność panowania nad sobą.

Pan Pawłowski przedstawił mnie jako podróżnika amerykańskiego, który żywo się interesuje krajobrazami syberyjskimi i pragnie zobaczyć jego szkice.

Pan Łobonowski przywitał mnie swobodnie i uprzejmie, poczem przyniósł swoje rysunki, prosząc o przebaczenie ich usterek. Rysował je w więzieniu na grubym papierze i musiał się ograniczyć do odtworzenia okolic, które mógł z okna swego więzienia oglądać.

Szkice wykazywały rękę niewprawną, choć zrobione były nie bez talentu. Przedstawiały one wnętrze więzienia, portrety więźniów i szereg krajobrazów.

Nasza rozmowa ograniczała się przeważnie do zajmujących nas przedmiotów, kwestye polityczne nie były poruszane. Opowiadał o swej podróży na Syberyę w ten sposób, jakgdyby była dobrowolną, nic z jego opowiadania nie dawało poznać, że jest on nihilistą, zesłańcem, prócz tego chyba, że wspominał także o więzieniu albo domu etapowym. Był on spokojny, skromny, szczery i umiał się znaleźć z taktem przy każdym zwrocie rozmo-

wy. Odserwowałem go uważnie, nie mogłem jednak odkryć w nim śladu wymuszoności. Musiał zauważyć moje badawcze spojrzenia, gdyż patrzyłem na niego, jak zazwyczaj ogląda się nieznany dotąd gatunek przestępcy—ale nie okazał przy tem ani pomieszania, ani zarozumiałości, zachowywał się ze spokojną godnością dobrze wychowanego gentlemana. Po półgodzinnej rozmowie opuściłem go, przyczem zaprosił mnie, aby go odwiedzić wieczorem w towarzystwie pana Frosta; wspomniał przytem, że zaprosi kilku przyjaciół, aby nas z nimi zaznajomić. Podziękowałem i przyrzekłem, że przyjdziemy.

— No—spytał pan Pawłowski, gdyśmy wyszli.— jak się panu podoba ten zesłaniec polityczny?"

— Zrobił na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Czy oni wszyscy tacy?"

— Tego nie mógłbym stwierdzić, ale nie są to wcale źli ludzie. Jest tutaj w mieście jeszcze interesujący skazaniec, którego musi pan poznać, pan Leontjew. Ma on zajęcie w kancelaryi sędziego pokoju, gdzie z ostatnim prowadzi studia antropologiczne nad Kirgizami. Jak mi się zdaje, opracowują oni monografię, dotyczącą obyczajów Kirgizów. Odwiedzimy potem sędziego pokoju pana Makowieckiego. Prawdopodobnie przedstawi on panu Leontjewa; pozna pan w nich obu rozumnych i inteligentnych ludzi.

Odwiedziłem sędziego pokoju pod pozorem, że chciałyby uzyskać jego pozwolenie na odrysowanie sprzętów kirgizkich w bibliotece miejskiej, którą zawiadywał. Pan Makowiecki okazał wielkie zadowo-

lenie z powodu mego życzenia i rzeczywiście przedstawił mi swego sekretarza, pana Leontjewa, który miał mi dostarczyć potrzebnych wiadomości, dotyczących plemienia Kirgizów. Leontjew był młodym człowiekiem z sympatycznymi rysami twarzy, w wieku lat 25, wzrostu nieco wyższego nad średni; brodę i włosy miał jasno kasztanowate, oczy siwe, nos nieco wygięty i podbródek zaokrąglony. Wywierał wrażenie myślącego, całkiem oddanego wiedzy człowieka. Później dowiedziałem się, że był synem oficera, który dawniej dowodził garnizonem kozackim w Siemipałatyńsku. Będąc chłopcem wychował się w cesarskiej szkole kadetów w Petersburgu, mając lat 18 wstąpił na uniwersytet, gdzie po czteroletnich studiach, został aresztowany pod zarzutem zawiązania tajnych stosunków z więźniami w twierdzy petropawłowskiej. W drodze administracyjnej został on tedy zesłany na przeciąg lat pięciu do Syberyi zachodniej.

Chociaż zachowywał się on wstrzemięźliwiej, niż p. Łobonowski, wywarł na mnie niemniej dodatnie wrażenie i po półgodzinnej z nim rozmowie pomyślałem sobie, że będę zmuszony zmienić mocno moje zdanie o nihilistach, jeśli wszyscy oni do tych dwóch są podobni.

O ósmej wieczorem zapukaliśmy, ja i pan Frost, do drzwi Łobonowskiego, który nas powitał najuprzejmiej. Zajmował on w małym domku drewnianym, niedaleko od naszego hotelu, jeden pokój, którego drewniane ściany pokryte były tynkiem a na podłodze, nie heblowanej, nie było żadnego kobierca. Na prawo od wejścia stało proste

pomalowane łóżko, w kącie za nim trójkątny stolik, na którym leżało kilka książek, między niemi Herberta Spencera „Szkice moralne, polityczne i estetyczne” i „Zasady psychologii.” Naprzeciw stały proste półki, gdzie także leżały różne książki, wśród których zauważyłem Nowy Testament w języku angielskim, herbaryum z grubego papieru pakunkowego i lornetka. Między dwoma okienkami, które wychodziły na podwórze, stał duży niepomalowany stół drewniany bez pokrycia, a na nim leżało francuskie tłumaczenie Balfoura „Zachowanie siły”, które właśnie przed wejściem naszym Łobonowski czytał widocznie. Prócz kilku jeszcze drewnianych stołków nie było w pokoiku już żadnych innych przedmiotów. To całe ubogie, ale czysto utrzymane urządzenie wskazywało, że posiadacz tegoż mógł się zaopatrzyć tylko w najpotrzebniejsze rzeczy.

Zadał on nam różne pytania, dotyczące naszej podróży syberyjskiej, wyraził swe zadowolenie, że w swoim mieszkaniu może powitać Amerykanów i rzekł do mnie z uśmiechem:

— Pan słyszał zapewne w Ameryce okropne rzeczy o nihilistach?

— Tak, — odpowiedziałem — nie słyszeliśmy o was nigdy inaczej, jak w związku ze spiskami i zamachami mordereczymi; muszę przyznać, że miałem o was bardzo złe zdanie. Słowo nihilista jest u nas określeniem osobnika, który dąży do zniszczenia wszystkiego, co istnieje.

— Nihilista jest to przestarzałe określenie, — oświadczył — które obecnie nie odpowiada więcej

znaczeniu partji rewolucyjnej w Rosyi, o ile nawet kiedy było ono nazwą właściwą. Nie wierzę, by pan w całej Syberyi znalazł choć jednego nihilistę, który odpowiada temu pojęciu. Naturalnie, między przeciwnikami rządu znajdują się ludzie najrozmaitszych poglądów, są i tacy, co system postrachu uważają za niezbędny i nawet morderstwo w celach obalenia rządu za usprawiedliwione, ale nawet ci teroryści nie zamyślają zniszczyć wszystkiego, co istnieje. Sądzę, że każdy z nich chętnie by broń złożył, gdyby w Rosyi zaprowadzono rząd konstytucyjny, wolność słowa i prasy, gdyby dowolnym aresztowaniom i zesłaniom położono koniec. Czy zna pan pismo, jakie rewolucyoniści rosyjscy skierowali do cesarza Aleksandra III przy jego na tron wstąpieniu?

— Nie,— odrzekłem— ale słyszałem o niem.

— Wyraża ono życzenie partji i mieści uroczyste przyrzeczenie odstąpienia na przyszłość od wszelkich czynów gwałtu, jeżeli cesarz nada wolność słowa i zwoła przedstawicielstwo narodowe; oświadczyli oni tam także, że takiemu przez zgromadzenie narodowe zaaprobowanemu rządowi nie będą robili żadnej opozycyi. Ludzie, którzy stawiają takie warunki, nie zamyślają chyba o zniszczeniu wszystkiego, co istnieje! Trzeba pana wiedzieć, że po zamordowaniu prezydenta Unii, Garfielda, „*Posel woli narodu*”, organ partji rewolucyjnej rosyjskiej wyszedł z żałobnymi obwódkami, że gazeta ta w wymownym artykule wstępnym stanowczo potępiła ten mord polityczny w kraju, gdzie prasa jest wolna, gdzie istnieje jawne poste-

powanie sądowe, gdzie urzędnicy państwowi wybierani są z pośród ludu.

— O tem nie wiedziałem—odrzekłem.

— Tak było—ciągnął dalej.—Morderstwo Garfielda uważane było za zbrodnię polityczną i było nawet przez najwięcej zdecydowanych terrorystów rosyjskich potępione.

Ukazanie się trzech młodych ludzi i damy przerwało naszą rozmowę. P. Łobonowski przedstawił ich nam, jako zaprzyjaźnionych z nim wygnañców. W powierzchowności ich nie było uderzającego. Jeden z nich wydawał się wesołym studentem, w wieku lat 25, dwaj drudzy wyglądali na ludzi wykształconych, albo rzemieślników o typie czysto rosyjskim. Rysy ich cechowała zaduma i pewna apatya; życie i wygnanie widocznie ich przygnębiły i rozgoryczyły. Dama, pani Dicheskuła, wykazywała, przeciwnie, temperament żywy. Miała około lat 30-tu, smukłej, kształtnej, delikatnej postaci, krótkie ciemne włosy spadały jej w lokach na szyję; twarz inteligentna nosiła ślady minionej piękności, którą zniszczyły wichry i sloty, pobyt w więzieniach i domach etapowych. Ubrana była w czystą suknię z ciemnego materiału, ozdobioną u szyi i rękawów białymi koronkami. W zachowaniu się jej nie było tej szorstkości i ekscentryczności, jakie spodziewałem się znaleźć u kobiet tego rodzaju. Mówiła płynnie i wprawnie, śmiała się czasami szczerze i wesoło, gdy opowiadała o swej podróży na Syberyę i tłómaczyła krótkość swych włosów tem, że je w więzieniu obcięto. Bardzo humorystycznie opowiadała o przygodzie, jaka ją spot-

kała na stepach kirgiskich między Akmołą i Siemi-pałatyńskiem. Że przy wesolem usposobieniu posiadała umysł głębszy, widać to było ze sposobu, w jaki nam opowiadała o stosunkach syberyjskich. Była naprzykład wzruszona współczuciem, które okazywali zesłańcom wieśniacy z Kamyszłowa, wsi, przez którą przechodziła w drodze między Ekaterynenburgiem i Tiumeniem, oczyszcili oni mianowicie gruntownie znajdujące się tam wiezienie etapowe i ubrali je kwiatami.

Po godzinie 8-ej wniósł p. Łobonowski buchający parą samowar; pani Dicheskuła przyrzadziła herbatę i przesiadeliśmy cały wieczór naokoło dużego stołu, razem, jakbyśmy byli starymi znajomymi, rozmawiając o ruchu rewolucyjnym w Rosyi, o systemie deportacyjnym, o sztuce, nauce i o stosunkach amerykańskich. Rozsądny, spokojny ton, w jakim ci wygnańcy mówili o wszystkim, zrobił na mnie jaknajlepsze wrażenie; nie było w tem nic z tego roznamiętnienia i rozgoryczenia, które u nich spodziewałem się znaleźć, ani też najmniejszego zamiaru, aby przez skargi i przesadę obudzić współczucie dla ich cierpień.

Damie odebrano przy aresztowaniu prawie wszystkie jej rzeczy; musiała ona przez rok żyć w więzieniu etapowym w Moskwie, w odosobnieniu, aby potem być zesłaną bez wyroku do bezludnej miejscowości w prowincyi syberyjskiej akmołińskiej, ztąd została wśród zimy przeprowadzoną do Siemi-pałatyńska. I o tem wszystkim opowiadała bez nadawania temu szczególnego znaczenia. O godz.

11-ej pożegnaliśmy się, przepędziwszy wieczór bardzo interesująco i przyjemnie.

Następnego dnia rano odbyliśmy [z p. Lobonowskim i panią Dicheskuła wzdłuż prawego brzegu Irtysza przejażdżkę do odległego o mil kilka topolowego i olchowego lasu, gdzie ośmiu wygnańców politycznych spędzało lato pod namiotami. Był tam rozbity w cieniu drzew wielki namiot kirgiski i kilka małych namiotów z bawełnianej tkaniny, w których mieszkało kilku mężczyzn i kobiety unikając w ten sposób żaru i kurzu miejskiego. Były między nimi dwie młode dziewczyny, w wieku ledwie lat 17-tu, które powinnyby jeszcze w szkole kończyć swe wykształcenie. Nie mogłem pojąć, dlaczego je zesłano, nie mogły być chyba niebezpieczne dla państwa. Myśl, że potężny rząd rosyjski nie umie inaczej się zabezpieczyć przed owemi nawpółdorosłymi dziewczętami, jak wyrrywając je z łona rodziny i wysyłając do pustyń azyatyckich, wydała mi się śmieszna.

W tym cienistym obozie spędziliśmy cały gorący dzień letni. Mister Frost szkicował, a ja gawędziłem z młodymi ludźmi, odczytywałem z jednym, który właśnie się uczył języka angielskiego, ustępy z Irwinga, odpowiadałem na zapytania, dotyczące Ameryki i zadawałem pytania o Rosyi i Syberyi.

Pod wieczór wróciliśmy do miasta i udali się do pana Leontjewa, który zaprosił do siebie większą część zesłańców, jeszcze mi nieznanych. Przyjął nas w pokoju większym i wygodniej urządzonej, niż u Lobonowskiego, ale i tutaj nie zauważyłem

nie, zwracającego uwagi, prócz chyba portretu Spencera, wiszącego na ścianie. Zebrało się kilkunastu zesłańców, między nimi p. Łobonowski, p-ni Dicheskuła, dr. Bogomolec, młody lekarz, którego małżonka skazana została do robót ciężkich w kopalniach nad Karą, oraz dwie siostry Prisdeckie.

Rozmowa toczyła się żywa i niezem nie skrępowana. Na me zapytania Leontjew opowiedział, co mu było wiadomem, o bibliotece miejskiej, ile przyjemności dostarcza ona skazańcom i jaki pożytek przynosi dla duchowego rozwoju mieszkańców.

— Nawet Kirgizi — mówił—korzystają z niej. Znam tutaj jednego starego Kirgiza, który czyta Buckle'a, Milla i Drappera.

— Kirgiz? — wykrzyknął pytająco zdumiony student.

— Tak!—odrzekł Leontjew—Przy pierwszym naszym spotkaniu przejęło mnie zdziwienie, gdy mnie prosił, abym mu wyjaśnił różnicę między indukcją i dedukcją. Później przekonałem się, że studyował on filozofów angielskich i dzieła wszystkich wspomnianych autorów przeczytał w tłumaczeniu rosyjskiem.

— Czy pan sądzi, że je zrozumiał?— zapytał znów student.

— Wypytywałem go wciągu dwóch wieczorów o „Dzieje umysłowego rowoju Europy“ Drappera i przekonałem się, że pojął wszystko, co przeczytał—odpowiedział Leontjew.

— Zwróciło mą uwagę—mówilem,—że niektóre książki, przeważnie autorów angielskich, zostały usunięte z użycia publicznego, chociaż je cenzura

dozwoliła Jak to wytłumaczyć, że książki, wprzód. aprobowane, potem są zakazywane?

— Nasza cenzura jest bardzo dziwaczną—wtrącił jeden z obecnych.—Jak to zrozumieć, że „Bogactwo narodów” Adama Smiths’a jest zabronione, a dzieła Darwina dopuszczone? Ostatnie przecież są, bezwątpienia, niebezpieczniejsze, niż pierwsze.

— Objawia się to w ten sposób—zaczął inny— że chociaż wykaz książek zakazanych jest ułożony, policya notuje potem tytuły wszystkich książek, które znalazła u osób, aresztowanych z powodów politycznych. Dane dzieło znaleziono przypadkiem między innemi zakazanemi, a więc musi ono być niebezpieczne dla państwa—rozumuje policya.

— Gdy mnie aresztowano— opowiadał Łobonowski,— policya zabrała nawet historycę francuską, którą wypożyczyłem w bibliotece publicznej. Odkryła ona przy pobieżnem przeglądaniu, że w dziele trafia się czasami słowo „rewolucya“ i to wystarczyło. Napróżno starałem się wytłumaczyć, że historia Francyi koniecznie musi mówić także o rewolucyi francuskiej. Mój braciszek dość nieudolnie sporządził sobie maszynkę parową, skonfiskowano ją jako maszynę piekielną.

Wśród ogólnej wesołości opowiedziano jeszcze kilka anegdot, które charakteryzowały postępowanie policyi rosyjskiej, potem przyszły na stół inne przedmioty.

Rozmowa ta wykazywała wysoki stopień wykształcenia u zebranych zesłańców: mówiono o Shakespearze, Millu, Spencerze, Buckle’u Balfourze, Stewardzie, Heinem, Heglu, Langem, Irwingu, Coope-

rze, Longfellowie, Bret-Harte'cie, Harriet Beecher-Stowe, albo ich cytowano. Znali oni stosunki amerykańskie lepiej, niż można się było spodziewać u kogo w Europie, pomijając już Syberyę. Po prostej, ale smacznej kolacyi, przy której nie brakowało wybornej herbaty, zaśpiewali nam kilka tęsknych pieśni ludowych rosyjskich, wzamian za co odśpiewaliśmy im parę wojskowych i studenckich piosenek amerykańskich, a nawet jedną pieśń murzyńską.

Nie wiele brakowało do północy, gdyśmy się pożegnali i wrócili do hotelu „Sibir!“

Nie jest dla mnie, naturalnie, możliwem przytoczyć nawet w urywkach treść mych rozmów z zesłańcami politycznymi w Siemipalatyńsku; mogą tylko wyjawić wrażenie, jakie na mnie wywarły:

Są to rzeczywiście, jak mówił pan Pawłowski, ludzie, którzy w innych stosunkach mogliby stać się bardzo użyteczni dla swojej ojczyzny. Jeśli żyją na wygnaniu, to nie dlatego, że im brak miłości dla ojczyzny i chęci służenia jej, lecz ponieważ rząd nadaje sobie prawo myślenia i działania za naród rosyjski i znajduje się w zupełnej sprzeczności z duchem czasu.

W sobotę, 18 lipca zwiedziliśmy więzienie miejskie, badaliśmy jeszcze system deportacyjny, o ile to było możliwe, pożegnaliśmy się z naszymi przyjaciółmi, zaopatrzyli w nową „podorożną” i opuściliśmy wreszcie, unoszeni trójką pocztowych koni, miasto, aby zrobić wycieczkę do gór Ałtajskich. Dzika ta okolica alpejska leży na granicy Mongolii, więcej niż o 500 kilometrów na wschód od Siemipalatyńska i o 1000 blisko kilometrów na południe

od Tomska. Podróżnicy niemieccy, Finsch i Brehm dosięgnęli w r. 1876 skraju tych gór, ale wysokich szczytów śnieżnych Alp Katuńskich i Chińskich nie dotknęła do tego czasu stopa cudzoziemca i bardzo niewielu Rosyan dostało się na nie.

Jechaliśmy prawym brzegiem Irtysza około 200 wiorst przez szerokie stepy faliste, pokryte zeschniętą trawą; tylko w pojedynczych miejscach, tam, gdzie step nawadniały drobne spływające do Irtysza strumienie, ukazywała się zieloność obfita. Wsie kozackie, spotykane po drodze, nie różniły się wybitnie od tych, jakieśmy dotąd widywali, tylko chaty były w lepszym stanie i pozwalały stawiać przypuszczenie, że mieszka w nich ludność zamożniejsza. Zamiłowanie Rosyan do barw jaskrawych ujawniało się i tutaj w ubraniach. Był to ładny widok, gdy kozacy w niedzielę w świątecznych strojach chodzili po drogach wiejskich, albo gdy, gawędząc, żartując i jedząc melony siedzieli w cieniu domów, lub gdy po zachodzie słońca przy dźwięku skrzypiec i gitar oddawali się tańcom.

Im dalej posuwaliśmy się wzdłuż Irtysza, tem stawało się goręcej i stepy były coraz więcej gołe, tak, iż przypominały jakąś pustynię w Arabii lub Afryce północnej. Termometr wskazywał codzień 90 do 100 stopni Fahrenheita w cieniu. Wysokie na 30 do 50 metrów wzgórza piaskowe ciągnęły się zwolna i majestatycznie przez spaloną przez słońce równinę. Mogliśmy dostrzedz ślad jeźdźca kirgiskiego po obłoku pyłu, jaki się z pod konia unosił, w odległości ośmiu kilometrów od nas. Gorąco i pragnienie dręczyły mnie strasznie. Aby się zabez-

pieczyć od promieni słonecznych, zawiąłem się w czterokrotnie złożoną koldrę i położyłem na nogi poduszkę, co mi dało nieco chłodu. Siedziałem jednak od strony słońca i wkońcu uczułem się tak wyczerpany, że musiałem prosić mego towarzysza, aby się zamienił ze mną na miejsca; znowu się obwinąłem, jak poprzednio i zdołałem wytrzymać do wieczora.

Pewien oficer rosyjski opowiadał mi dawniej o gorącu, jakie panuje w lecie w dolinie Irtysza, doprowadza ono do omdlenia i porażień; radził mi on nie podróżować nigdy od 11 rano do 3-ej po południu, przyjąłem to z uśmiechem, jako żartobliwą przesadę. Zapewnił mnie jednak, że mówi zupełnie poważnie i zaznaczył, że żołnierze podczas marszu często ulegają takim zasłabnięciom. Rozumiał pod tem porażenie słoneczne, które jako rodzaj choroby było mu, jak się zdaje, nie znane i którego objawy uważał za właściwość żaru letniego w dolinie Irtysza.

Pod stacją Weroninskaja, wśród tego przepalonego słońcem stepu, gdy termometr pokazywał 103 stopnie, spotkała nas burza piaskowa, która nadbiegła z południo-wschodu. Zawirowały w powietrzu słupy piasku i delikatnego gorącego pyłu, wysokie na 30 metrów i ogarnęły nas gęstym obłokiem, który nam zapierał oddech i całkiem widok zasłaniał. Chociaż jechaliśmy w kierunku burzy a nie przeciw niej około dwóch godzin, zaledwie mogliśmy oddychać i gdyśmy wreszcie przybyli do Szeremszańska, nie można było z naszej powierzchowności rozpoznać, czy jesteście Kirgizi, czy Amerykanie, czar-

ni, czy też biali. Wypiłem duże naczynie, pełne zimnego mleka, co jeszcze nie ugasiło mego pragnienia. Frost obtarł pył z oczu, wlał w siebie siedem kubków mleka i zawołał w końcu: „Gdyby kto sądził, że na Syberyi nie jest gorąco, to niech mnie tylko zapyta“.

Przy stacyi Mało-Krasnojarskaja pozostawiliśmy Irtysz na prawo i straciliśmy go na zawsze z oczu. Popołudniu dosięgliśmy pierwszych gór łańcucha Altajskiego i poczęliśmy wolno wznosić się ku stacyi.

Następnego dnia wieczorem jechaliśmy przez wilgotne łąki górskie, których świeża trawa przetykana była różnobarwnemi kwiatami, nad nami wznosił się pokryty śniegiem szczyt góry. Przejście z suchego, przepalonego przez słońce stepu do tej wspaniałej „Szwajcaryi syberyjskiej“ było tak oszałamiające, że zaledwie wierzyliśmy swym oczom. „Czy to wczoraj marzyłem tylko o tej strasznej pustyni z piaszczystymi zaspami i spotykanemi po drodze zbielełemi szkieletami czy podobna przemiana w ciągu 24 godzin jest rzeczywiście możliwą?“ zapytałem sam siebie.

Moje oczy, znużone widokiem stepu koił obraz piękności krajobrazów, która wzrastała w miarę zbliżania się naszego do stacyi Altaja. Na lewo widzieliśmy łańcuch pagórków, zaróżowionych od blasku przebijających przez chmury promieni słońca, na stokach ich rosła masa kwiatów: na prawo, prawie bezpośrednio po nad drogą wznosił się łańcuch gór wysokich, o śmiałych zarysach, których szczyty, sięgające 3,000 metrów, pokrywał świeżo spadły

śnieg, a w pośrodku opasywało je szerokie pasmo wiecznie zielonego lasu. U stóp ich rozpościerała się podobna do parku dolina, przez którą prowadziła ocieniona drzewami nasza droga, przecinając łąki zielone, gdzie rosły kwiaty i drzewa owocowe a kryształowe strumienie górskie szemrały, spadając w drobnych kaskadach. Po przebyciu 4,800 kilometrów prawie wyłącznie przez stępy krajobrazy te wywierały na mnie porywające wrażenie.

Dotarliśmy wreszcie stacyi Altaj—Kirgizi nazywają ją Koton-Karaghai — o godzinie szóstej po południu. Nigdy nie zapomnę zachwyty, jaki mnie ogarnął, gdym przy wjeździe do wsi, obejrzał się naokoło. Jeszcze nigdy nie widziałem krajobrazu górskiego, któryby się równał pięknością z ujrzanym w tem miejscu, chociaż zwiedziłem w różnych kierunkach góry Sierra-Nevada, góry Nicaragui, na Kamezatce i Kaukaskie. Jeśli znajduje się gdzie na świecie ładniej położona miejscowość, niż stacya Altaj, to gotów jestem przepłynąć oceany, aby ją oglądać.

Sama stacya jest niczem więcej, jak posterunkiem kozackim; składa się ona z 70 do 80 domów drewnianych, posiada szerokie, czyste ulice i ładną cerkiewkę drewnianą. Przed każdym domem znajduje się ogródek, zarosły brzożami, srebrnymi topolami i krzewami; po obu bokach ulicy obmywa te ogródki toczący kryształową, zimną jak lód wodę strumień. Wszędzie słychać szemranie tego potoku; aby pojąć jak rozkosznie to pieści ucho, trzeba pierwiej cały miesiąc podróżować przez wyschnięte, zapyłone stępy Irtysza. Te drobne, ruchliwe stru-

gi wody zdają się przynosić z sobą świeże powietrze tych gór, z kądem wytryskują, i jakkolwiek wysoko stałby termometr, wydaje się, że spada on od swego najwyższego punktu pod wpływem tego szmeru wody, który gwarzy nam wesoło o śniegu i glezcerach, tam, na gór szczytach, tak, iż, zapominając o rzeczywistości, gotowi jesteśmy dać mu zupełną wiarę.

Zatrzymaliśmy się przez dni kilka na stacyi; zrobiliśmy z komendantem rosyjskim parę wycieczek na góry sąsiednie, fotografowaliśmy Kirgizów, którzy obozowali w pobliżu wsi i zebraliśmy wiadomości, dotyczące położonych dalej na wschód gór, na które zamierzaliśmy się wędrcić. W poniedziałek 27 lipca chcieliśmy zrobić wycieczkę konno do Alp Katuńskich, albo „Beilki,” najwyższego szczytu gór Altajskich. Dnia tego przypadła imieniny komendanta rosyjskiego i aby tej uroczystości nie pominać i zarazem odprowadzić nas kawalek drogi zaprosił on towarzystwo na piknik nad brzeg potoku Buchtarma, odległego o wiorst 15-cie.

W towarzystwie komendanta, jego żony i córki, hetmana kozackiego, jednego zesłańca politycznego i jego żony i jeszcze kilku dam i oficerów pojechaliśmy konno na owe miejsca. Konwojowało nas 15-u jeźdźców kirgiskich w kolorowych beszmetach i srebrnych pasach. Składało się to wszystko na niezwykle piękny obraz.

Komendant już rano wysłał naprzód dwa namioty kirgizkie, kobierce, poduszki, statki kuchenne i artykuły żywności, znaleźliśmy więc po naszym przybyciu na brzeg potoku rozbite namioty, rozłożone

kobierce i poduszki dla dam, gorejące ognisko i aromatyczną herbatę. Po spożyciu posiłku zbierano rośliny, łowiono ryby, uganiano się za motylami, śpiewano i zabawiano się nieco grą w karty. Gdy mister Frost i ja wieczorem zegnaliśmy się z towarzysztwem, chętnie wolelibyśmy pozostać pod naszymi namiotami, tutaj, jeszcze z tydzień, niż włączyć się po Alpach Katuńskich.

Noc spędziliśmy na posterunku kozackim Singistej, złożonym z dwóch świeżo wzniesionych domów drewnianych w dolinie Buchtarmy. We wtorek przejeżdżaliśmy przez malowniczo położoną wieś Arul i dosięgliśmy posterunku kozackiego Berel, właściwego punktu wyjścia naszej wyprawy w góry. We środę wczesnym rankiem wyruszyliśmy ztamtąd z dwoma kozakami, jako przewodnikami, pięciu końmi kirgiskimi, zaopatrzeni w środki żywności, które wystarczały na tydzień. Dwie godziny drapaliśmy się po drożynie kirgiskiej, która wężowatym szlakiem wspinała się ku górze. Gdyśmy zatrzymali się na odpoczynek w obozie kirgiskim na szczycie góry, na wysokości 1,000 metrów po nad brzegiem Buchtarmy, pojechaliśmy dalej ku północy wśród dzikiej okolicy górskiej. Po utrudzającej jeździe i przebyciu trzydziestu wiorst po spadzistej niebezpiecznej drożynie, dosięgliśmy doliny źródeł gorących Rachmanowskich. Znaleźliśmy tam okrążone wysokimi górami małe przezrocyste jeziorko górskie, nad którego brzegiem stała samotna chata; postanowiliśmy w niej przenocować.

Gwałtowny deszcz nie pozwolił nam dnia następnego odbywać dalej podróży, ruszyliśmy dopiero

dnia trzeciego, gdy się stan pogody zmienił na przyjaźniejszy. Ostatnie sześćdziesiąt wiorst naszej jazdy nie pozbawione były pewnych niebezpieczeństw i trudności. Droga wiodła przez olbrzymie, spadziste wyniosłości ponad głębokimi dolinami, w które spuszczały się, trzymając się biegu rwących potoków górskich, przez moreny gleczerów, kupy kamieni, błota, gęste zarośla między powalonymi drzewami, przez groźne rozpadliny, gdzie z wysiłkiem jedynie udawało nam się utrzymać równowagę i pozostać na siodle. Konie nasze przez połowę drogi ślizgały się na wszystkich czterech nogach, a z pod kopyt ich staczały się w przepaść strącane odłamki skały i w głębinie rozpryskiwały się na szczątki. Podróże po górach nie były dla nas nowością: przejechałem na koniu Kamezatkę, przebyłem trzykrotnie góry Kaukazkie, raz nawet na wysokości 4,000 metrów, ale muszę przyznać, że tutaj przy spuszczeniu się w dolinę Rachmanowską, czarnego Berela, białego Berela, robiło mi się nieswojo. Podobne zstępowanie jest tylko możliwe z końmi kirgiskimi; raz nawet stoczył się ze mną rumak, ale nie poniosłem żadnego uszkodzenia.

Okolice przez które jechaliśmy, pokrywał las pierwotny, wykazujący niezmierne bogactwo zwierzęcy i przebywany jedynie przez „Kirgizów gór dzikich.“ Spotykaliśmy „marale“ (łoś syberyjski), wilki, dzikie owce i świeże tropy niedźwiedzia w trawie. Płoszyliśmy dzikie kozy i mogliśmy strzelać do setek kuropatw, dzikich kaczek, dzikich gęsi, orłów i żorawi.

Flora głębokich dolin odznaczała się wielką

rozmaitością: widywaliśmy piękne, w różnych odmianach, dzikie fljolki, goździki, spireje, dwa rodzaje goryczki i jeszcze bardzo wiele gatunków roślin, między którymi były takie, których dotąd jeszcze nigdy nie spotykałem. Znalazłem tu także dziko rosnące takie rośliny, które u nas otrzymują się tylko drogą kultury, jak: rabarbar, selery, porzeczki i agrest, poziomki, wiśnie, brzoskwinie i wiele innych. Większość jagodowych roślin miała już płody dojrzałe, porzeczki były takiej wielkości i tak obfite, że tylko przy troskliwej kulturze możnaby takie osiągnąć. Był to wspaniały obraz dzikiego piękna, który przewyższał wszystko, com oglądał na Kaukazie.

W sobotę, pierwszego sierpnia dosięgliśmy stoków grzbietu górskiego, który stanowił rozdział wodny i oddzielał nas jeszcze od głównego łańcucha Alp Katuńskich. Przenocowaliśmy w dolinie górskiej, nad brzegiem białego Berela, który wytryska z szumem o kilka kilometrów wyżej z wielkiego gleczeru. Powietrze było chłodne, ale przezroczyste; roznieciliśmy ognisko obozowe, aby spędzić noc możliwie wygodnie.

Następnego poranku dostaliśmy się na szczyt 700 metrów wysokości i spojrzeliśmy na dół w dziką dolinę Katunu, nad którym się wznoszą „słupy katuńskie”. Najwyższe szczyty rosyjskiego Altaju. Byłem do pewnego stopnia przygotowany do ujrzenia wspaniałego widoku, gdyż wyżyny te oglądałem już niejednokrotnie z dalszej i bliższej odległości, ale to, co tu ujrzałem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Oniemiałem; jedno jedyne tylko słowo

wyrwało się mimowoli z ust moich: „straszne!” Widok nie przedstawiał nic malowniczego, nic, co by można nazwać pięknem, był on przygniatająco straszny. Pod naszymi stopami leżała szczelina Kazańska, naprzeciw, w oddali wznosił się pokryty śniegiem łańcuch potężnych Alp Katuńskich, których niedosięgle szczyty strzelały w górę na 5,000 metrów i których gleczery rozciągały na 1,500 metrów długości. Gleczer po prawej od nas stronie przedstawiał zwieszoną, prawie pochyłą, masę lodową około 500 metrów wysokości, z drugiego, po lewej od nas stronie wytryskał potok, który z szumem spadał w głąbinę. Trzy moreny dzieliły tenże wdluż, co z punktu, na jakim się znajdowaliśmy sprawiało wrażenie, jakbyśmy widzieli na białej powierzchni pasma z mialu węglowego lub szlaki; w rzeczywistości były to odłamy skał od wielkości głowy do wielkości wozu; rozpościerały się one więcej, niż na 100 metrów i miały kilka kilometrów długości. Oba najwyższe szczyty tonęły w chmurach, co powiększało jeszcze wspaniałość obrazu, gdyż wydawało się jakby z jakiejś nieznaney, ukrytej w chmurach wyżyny, spadały na dół. Szum katarakty mieszał się z grzmącym trzaskiem usuwających się niepostrzeżenie z pod gleczeru mas lodowych.

Przez pół godziny przyglądaliśmy się temu potężnemu widokowi, poczem zwróciliśmy naszą uwagę na szczelinę Katuńską i poczęliśmy badać, czy by nie było możliwem spuścić się na dół do podnóża tego gleczeru, z którego wytryska potok. Mój towarzysz oświadczył, że zejście jest niemożliwe

i sprzeciwiał się temu, gdy nastawałem, twierdząc, że nasz przewodnik może popróbować nam to ułatwić.

— Widocznem jest—mniemał mister Frost— że ta spadzistość kończy się w głębokiej przepaści i gdybyśmy nawet na koniach naszych tam zjechali, to nigdy się ztamtąd na górę z powrotem nie wydobydziemy. Niedorzecznością jest nawet myśleć o tem!

I mnie się to wydawało niebezpiecznem, miałem jednak tak wielkie zaufanie do umiejętności wdrapywania się na góry naszych koni kirgiskich, że wykonanie powziętego zamiaru uważałem za możliwe.

Gdyśmy zastanawiali się nad tą kwestyą, próbował nasz przewodnik rozstrzygnąć ją praktycznie. Pojechał on na dół i wkrótce straciliśmy go z oczu, tylko tentent kopyt i odgłosy spadających w dół kamieni dawały nam znać o nim. Lecz nagle ukazał się on na występie skały, i zawołał do nas: „To nic, zjeżdżajcie panowie tylko! — Można tu telegą przejechać!” Tak łatwą nie wydała mi się droga, nieraz dostawałem zawrotu głowy, gdy spoglądał na dół, ale możliwość zjechania była, zgodził się na to, i mister Frost. Prowadząc konia swego za cugle, schodził za mną ostrożnie po krętej drożynie; ja się trzymałem, jak długo tylko mogłem, śladów naszego przewodnika, który oczekiwał na nas występie skały. Tu podciągnął on mocniej popręg mego siodła i odbywaliśmy drogę dalej; sądziłem, że lepiej zjeżdżać na dół, niż prowadzić konia za cugle, gdyż mógł on, poślizgnąwszy się, stoczyć się na mnie, albo strąciwszy kopytami

kamienie, zwalić mnie z nóg i zrzucić w przepaść.

Z początku zejście było bardzo niebezpieczne. Zaledwie mogłem się utrzymać na siodle, ale wkrótce dostrzeżliśmy pokryte trawą miejsca, z kął już droga była dość spadzista, ale już bez niebezpieczeństwa wiodła na dół wężowatym szlakiem. Przybywszy do podnóża tej potężnej góry puściliśmy znowu konie i próbowaliśmy wdrzeć się na wielki gleczer. Tu dopiero przekonałem się, jak wiele niedoceniałem, patrząc z punktu, na którym przedtem byliśmy, odległości i wielkości w stosunku do oddalenia. Katun, który wydawał nam się strumykiem wązkim, jaki przejść może w bród każde dziecko, okazał się szeroką, rwącą rzeką; główny gleczer, którego szerokość oceniałem na 150 metrów, miał w samej rzeczy sześć kilometrów długości i zasiany być olbrzymimi zwałami skalnymi.

Wziąłem aparat fotograficzny i drapałem się z towarzyszami półtorej godziny, aż do moreny środkowej, gdzie zbliżyliśmy się do wielkiego pola lodowego, mającego trzy kilometry w obwodzie.

Szkicowaliśmy i fotografowaliśmy, poczem spuściliśmy się z gór na dolinę i powrócili ku wieczorowi do naszego schronienia noclegowego nad białym Berelem. Noc ta, 2 sierpnia, była jeszcze chłodniejsza, niż poprzedzająca, woda w naszym kociołku do gotowania herbaty pokryła się grubą skorupą lodu i, gdym wstał rano, ujrzałem szron na mej poduszce.

W poniedziałek zrobiliśmy wycieczkę na górę, z której szczytu widać było wąską dolinę Katunu; udało nam się zdjąć dobrą fotografię wysokich przeciwległych szczytów górskich na tle bezchmurnego nieba. Nasz mały aparat mógł oddać zresztą tylko cząsteczkę tej wspaniałej okolicy górskiej i to w tak drobnych rozmiarach, że niewielką to przedstawiało wartość; ale cieszyliśmy się, że zdobyliśmy choć cośkolwiek, co w nas budzić mogło później żywe wspomnienie tej cudownej okolicy.

Popołudniu wróciliśmy do źródeł gorących Rachmanowskich i 5 sierpnia, po dziesięcio-dniowej nieobecności, przybyliśmy z powrotem do stacyi Altaju.

5. Zesłani w drodze administracyjnej.

Bardzo mało stronnic mego dziennika podróży po Syberyi budzi we mnie tak przyjemne wspomnienie, jak te, na których opisałem pobyt w górach Ałtajskich. Gdy wzrok mój pada na miejsce pod datą „Stacya Ałtaj, 5 sierpnia“, staje mi przed oczyma malownicza owa wieś kozacka ze wszystkimi szczegółami.

I gdy zamykam oczy to wydaje mi się, że słyszę szmer przezroczego strumienia, który toczy swe wody przez ulice wsi, że widzę kwieciste hale górskie, okolone pokrytymi śniegiem szczytami, że czuję orzeźwiające, wonne z nich powiewy. Gdybyśmy byli odbywali tę podróż po Syberyi dla przyjemności, to niewątpliwie spędzilibyśmy tam całe lato, gdyż nigdzieindziej nie moglibyśmy znaleźć więcej zachwycającego letniska.

Czyste, świeże powietrze górskie, obfitość kwiatów—powiększyłem mój zielnik o 1,000 prawie odmian — obfitujące w ryby rzeki i dzikie lasy

pierwotne wszystko składało się na to, by pobyt tutaj uczynić najprzyjemniejszym. Oddział jeźdźców kirgiskich, był w ciągłym pogotowiu, aby nas odprowadzić do granicy mongolskiej nad czarujące jezioro alpejskie Marka Kul, albo do niezbadanych jeszcze rozpadlin chińskiego Altaju. Uprzejmy komendant próbował nas zatrzymać, planując cały szereg ponętnych wycieczek; lecz choć chętnie byśmy byli jeszcze zostali, musieliśmy wyruszyć dalej, gdyż lato ze swą przyjazną porą niezadługo miało przeminąć, a chcieliśmy jeszcze przed nadejściem zimy osiągnąć kopalni nad Karą. Już upłynął pierwszy tydzień sierpnia, a dzieliło nas jeszcze od źródeł Amuru około 4,000 kilometrów.

Najbliższym celem naszym był Tomsk, który oddalony jest od stacyi Altaju o 1200 kilometrów. Musieliśmy, chcąc się dostać do tego miasta, raz jeszcze odbyć część przebytej drogi i jechać z biegiem Irtysza aż do Pianojarowskaja. Tu droga się rozwidła; jedna wiedzie do Siemipałatyńska, druga w kierunku północnym przez Altajski okręg górniczy i stacyę Barnaul do Tomska. Droga prowadziła nas także przez dwie kolonie zesłańców politycznych, jedną pod wsią kozacką Ulbińsk, odległą o 260 kilometrów od stacyi Altaj, drugą przy miasteczku Ust'kamieniogorsk. Postanowiliśmy zatrzymać się w obu przez chwilę.

We czwartek, 6 sierpnia, w godzinach rannych zapakowaliśmy nasze rzeczy, zamówili konie pocztowe, zjedliśmy śniadanie z gościnnym gospodarzem w kółku jego rodzinnem, i pożegnawszy się ze

wszystkimi znajomymi, rozstaliśmy się z tą piękną wsią alpejską.

Podróż nasza przez dolinę Buchtarmy i wyschłe stopy Irtysza w powrotnym kierunku odbyła się jak przedtem i w takich samych okolicznościach. Różnica była tylko w tem, że przedtem jechaliśmy z pustyni ku góróm, obecnie z gór przez pustynie. W piątek po południu dojechaliśmy do kolonii Buchtarma. Tu Irtysz przerzyna odnogi Altaju i droga skręca od rzeki ku góróm. Koni pocztowych nie było i pogoda zapowiadała się nieszczególnie. Droga do Aleksandrowskiej była wskutek deszczu w stanie nienajlepszym, tak iż nie mogliśmy z początku znaleźć żadnego włościanina, który gotów byłby nam wynająć swe konie, zaprzęgnąć je do ciężkiego tarantasa, by tenże ciągnęły po spadzistej, błotnistej drodze górskiej wśród ciemnej i przypuszczalnie burzliwej nocy. Nakoniec znaleźliśmy jednego przy pośrednictwie pocztmistrza i udaliśmy się w drogę czwórka „wolnych” koni. Wkrótce doszliśmy do przekonania, że byłoby lepiej, gdybyśmy poszli byli za radą woźnicy i przenocowali w Buchtarmie. Droga była jaknajgorsza i nie przejechaliśmy jeszcze połowy tejże, gdy się zrobiło ciemno, nadto tego powstała straszna burza z gromami i błyskawicami. Kilka razy zjeżdżaliśmy, błędząc, z drogi i powóz nasz wpadał w głębokie kałuże, w końcu zwałił się do wyżłobionego przez deszcz dołu. Woźnica chłostał, wymyślając i klnąc, biedne szkapy; zapaliliśmy wiązkę siana, aby oświetlić miejsce naszej przygody nieszcześliwej i usiłowaliśmy podnieść ta-

rantas, przyczem zabłociliśmy się od stóp do głów, nie mogąc nic poradzić. Kilku woźniców, którzy wyjechali z Buchtarmy wkrótce po nas z pocztą i łatwiej mogli się przesuwać ze swemi lekkimi telegami, uwolnili nas wreszcie z tego fatalnego położenia, pomógłszy naszemu kuczerowi wyciągnąć tarantas na wierzeh. Potem pojechali dalej i wkrótce znikli nam z przed oczu.

I my pojechaliśmy dalej; ponieważ się jednak obawiałem, że ten wypadek może się powtórzyć i zmusić nas do przepędzenia nocy w polu, czas jakiś szedłem tedy przed powozem, naprzód badając drogę, i, machając chustką od nosa, dawałem znaki woźnicy, czy można przejechać. W końcu przecież zbyt się poczułem znużony, aby dłużej jeszcze wśród zupełnie ciemnej nocy pod ulewnym deszczem, szukać wyrw i kałuż, wsiadłem napowrót do tarantasa, zawiąłem się w przemokłą kołdrę i postanowiłem spuścić się na wolę losów.

Nie przeszło nawet kwadransa czasu i powóz nasz znowu przewrócił się do dołu. Obmacaliśmy wszystko na około i doszliśmy do przekonania, że się bez pomocy nie wydobędziemy z tego miejsca, postanowiliśmy więc przepędzić tu noc, a tymczasem wysłać woźnicę na koniu, by wezwał zkąd jakiej pomocy.

Było wtedy około 11 wieczorem. Burza nieco przycichła, ale deszcz nie ustawał padać; tu i owdzie błyskawica rozjaśniła ciemności i oświeciła na mgnienie oka niegościnną miejscowość. Przeziębli, przemokli, zmęczeni i głodni wleźliśmy do przewróconego tarantasa, gdzie byliśmy zabezpieczeni

przynajmniej od deszczu i oczekiwaliśmy do rana, aż na koniec woźnica nasz w towarzystwie kozaków powrócił z Aleksandrowskiej, zaopatrzony w latarnie, sznury, drągi i także w inne konie, przy których pomocy udało się nam wydobyć na wierzch powóz i pojechać dalej. W Aleksandrowskiej napiiliśmy się herbaty, przespali dwie godziny w domu pocztowym na podłodze i ruszyliśmy w dalszą drogę w osiem koni z trzema woźnicami.

Odległość między Aleksandrowską i Siewierną wynosi około 30 kilometrów, trzecia część tej drogi prowadzi przez dziki wąwóz, potem wśród obnażonych gór, aby znowu przez głęboki wąwóz spuścić się w dolinę Ulbińska, której już nie porzuca aż do Ust'kamieniogorska.

Złe drogi i jazda po górach pozwalały nam zaledwie wolno posuwać się naprzód; chociaż braliśmy do zaprzęgu osiem koni — później po pięć — potrzebowaliśmy jednak dziesięciu godzin, aby przybyć do Siewiernoj. Przy wjeżdżaniu pod górę, wysiadaliśmy z powozu, zrywaliśmy kwiaty i zdobiliśmy niemi tarantas.

W sobotę, nad wieczorem przejechaliśmy w szybkim klusie długi, piękny wąwóz, który prowadzi do doliny Ulby i nim się jeszcze zciemniłe zaspokoiliśmy głód w domu pocztowym chlebem, mlekiem i jagodami.

Do znajdujących się wtedy tam zesłańców politycznych zaliczali się: Aleksander L. Blok, młody słuchacz prawa z Saratowa nad Wołgą, Apollon Karelin; syn znanego fotografa w Niżnym Nowgorodzie, Seweryn Gross, słuchacz prawa z prowincyi

kowieńskiej i dr. Vitert, lekarz z Warszawy. P. Karlin towarzyszył swej żonie na Syberyę, inni byli—jeśli się nie mylę—nie żonaci.

Już w Siemipalatyńsku dowiedziałem się o ich nazwiskach i częściowo o ich losie; z tych i innych względów chciałem zawrzeć z nimi znajomość. Sądziłem mianowicie, że zesłańcy polityczni w Siemipalatyńsku, którzy tak dobre wrażenie wywarli na mnie, byli pod względem inteligencyi wyjątkami; nie mogłem się jeszcze ciągle oprzeć myśli, że muszę w Syberyi napotkać ludzi, którzyby odpowiadali choć do pewnego stopnia memu pojęciu o nihilistach.

Nie przepędziliśmy jeszcze i godziny we wsi, a już dwóch zesłańców, panowie Blok i Gross, odszukali nas. Do jednego z nich poczułem zaraz sympatyę. Mógł mieć niespełna lat trzydzieści, wzrostu był średniego, silnej budowy ciała, miał ciemne włosy i ciemne oczy, twarz bez zarostu, na której uwydatniały się rozum, powaga i siła. Marek Aureliusz powiedział gdzieś mądre słowa: „Człowiek ucziwy i dobry musi być podobnym do tego, który wydziela z siebie mocne technienie, tak, iż każdy, kto się doń zbliża, odczuwa je, czy chce tego, czy nie.”—Ucziwość i dobroć Bloka były, jak mi się zdawało, tego rodzaju; poczułem skłonność do niego, wprzód nim poznałem przyczyny tego. Pan Gross był przystojnym 30-letnim mężczyzną, z kasztanowatemi włosami i brodą, niebieskiemi oczami i delikatnemi, prawidłowemi rysami twarzy. Głos jego brzmiał przyjemnie, mówił z żywością i miał zwyczaj, w chwili podniecenia, lub gdy go

coś szczególnie zainteresowało, otwierać szeroko oczy. Obaj posiadali języki: francuski i niemiecki. Pierwszy czytał także po angielsku i interesował się narówni ze swym towarzyszem bardzo żywo ekonomią polityczną. Moznaby ich wziąć z powierzchowności za młodych profesorów. Już po krótkiej z nimi rozmowie przekonałem się całkowicie, że odnośnie do inteligencji wytrzymują oni porównanie z zesłańcami politycznymi w Siemipalatyńsku i wiedziałem już, że dzikich nihilistów, wedle mego pojęcia, musiałbym chyba poszukać jeszcze w jakim więcej oddalonym zakątku Syberyi.

Gawędziliśmy w domu pocztowym do 9-ej godziny, potem na zaproszenie Bloka odwiedziliśmy z nimi innych zesłańców politycznych w tej miejscowości. Wszyscy mieszkali w ubogo urządzonych domach drewnianych, które wynajmowali od tamtejszych kozaków; wszędzie widać było biedę i niedostatek, które znosili oni jednak z godnością, bez skarg, obliczonych na obudzenie w kim współczucia. Wydawali się wszyscy zdrowymi, z wyjątkiem pani Karelin, która wyglądała przybita, była blada i wychudła, i d-ra Viterta, bardzo wykształconego człowieka, który już po raz trzeci znajdował się na wygnaniu, spędził dziesięć lat swego życia w części w więzieniu, w części na Syberyi. Miał on taki wygląd, jakby już nie długo miał „niepokoić” rząd rosyjski, który zniszczył szczęście jego życia. Mając dopiero 43 lat, był już całkiem złamany i mógł się zaledwie z trudem poruszać, wsparty na lasce; cierpiał on ciągle na reumatyzm, którego się nabawił w więzieniu. Rozmowa przeszła

także na Stany Zjednoczone, zadawał mi przytem pytania, które wykazywały więcej, niż powierzchowną znajomość stosunków.

We wszystkich mieszkaniach znajdowałem stolik do pisania, książki, gazety, jak np. „Revue des deux Mondes”, „Ruskij Wiestnik”. P. Blok posiadał także małą dobraną bibliotekę, która zawierała oprócz książek rosyjskich, także dzieła autorów angielskich, francuskich i niemieckich, przeważnie ekonomiczne, prawne i historyczne. Nie potrzebuję chyba wyczerpująco dowodzić, że tacy ludzie nie są ani „surowymi fanatykami”, ani „ciemnymi szwecami lub innymi rękodzielnikami”, jak mi ich raz określał pewien oficer rosyjski. Jeśli tacy ludzie wysyłani bywają do osamotnionej wsi syberyjskiej na granicy mongolskiej, zamiast użycia ich na usługi państwa, to—tem gorzej dla tego państwa.

Cały wieczór i część dnia następnego spędziłyśmy w towarzystwie zesłańców politycznych Ulbińska i bylibyśmy chętnie jeszcze dłużej pozostali, gdyby cele nasze pozwoliły nam na to, tembardziej, że nasza wycieczka w góry znacznie czas i bez tego skróciła. W niedzielę popołudniu wyjechaliśmy w dalszą drogę do Ust’kamenogorska. Blok i Karelin odprowadzili nas konno aż do statku, który miał nas przewieźć przez Ulbę. Pożegnaliśmy się z nimi najserdeczniej, przyczem prosili, aby o nich nie zapominać, gdy powrócimy do „swobodniejszego i szczęśliwszego kraju”. Przebyliśmy rzekę. Długo patrzyli oni jeszcze ku nam i dawali znaki pożegnania, zanim nie pogrążyliśmy się w lesie, który ukrył nas przed ich wzrokiem.

Jeśli te kartki dostaną się kiedy do samotnego siedliska zesłańców politycznych w Ulbińsku, niech będą dla nich dowodem, żeśmy o nich nawet w „swobodniejszym i szczęśliwszym kraju” nie zapomnieli, że o nich często myślimy, pełni dla nich szacunku i sympatii!

W niedzielę wieczorem o zmroku przybyliśmy do Ust'-Kamienogorska i zajechali do domu pocztowego.

Miasteczko składa się z 600 do 800 domów drewnianych z 5,000, mniej więcej, mieszkańców; leży ono w pośrodku nagiej równiny, na prawym brzegu Irtysza, przy ujściu Ulby. Wśród znaczniejszych budowli posiada kilka meczetów, cerkwi rosyjskich, „ostrog” t. j. cytadelę, czworokąt, otoczony wysokim walem ziemnym i suchym rowem, obejmujący więzienie, cerkiew i kilka domów rządowych.

Meczety, mulłowie w białych turbanach, jeźdźcy kirgisy w swych spiczastych czapkach, nawoływania do modlitwy muezzinów, wielbłądy, przeciągające przez ulice wolno i uroczyście—wszystko to nadaje miastu wygląd orientalny, jaki zauważyliśmy już w Siemipalatyńsku i możnaby pomyśleć, że tu także znajdujemy się w Afryce północnej, albo w Małej Azji, a nie na Syberyi.

Gdyśmy siedzieli przy herbacie w domu pocztowym, niespodzianie przybył do nas p. Gross, który przyjechał tu rano. Zaledwie jednak zajął przy nas miejsce, gdy pani pocztmistrzowa zawiadomiła nas, że oficer rosyjski życzy sobie mówić z nami i, zanim zdążyłem spytać się pana Grossa,

w jakich znajduje się stosunkach z władzami miejscowemi, wszedł już ów oficer, p. Szajtanow. Zmieszalo mnie to nieco. Nie znałem bliżej przybyłego i obawiałem się, że mógł on zachować się względem obecnego u mnie mojego gościa, politycznego zesłańca, w sposób taki, że energiczne wystąpienie z mej strony będzie mym obowiązkiem. Ale poszło lepiej, niż się spodziewałem. Oficer kozacki okazał się człowiekiem z wykształceniem i taktem, i cokolwiek sobie mógł pomyśleć, znalazłszy nas w tak krótkim czasie po naszym przybyciu w towarzystwie zesłańca politycznego, nie pokazał po sobie ani zdziwienia, ani niechęci. Gdym go przedstawił p. Grossowi, skłonił się grzecznie i po kilku już minutach prowadziliśmy ożywioną rozmowę o hodowli pszczół i jedwabników, oraz o uprawie tytoniu. P. Szajtanow wspomniał, że czynił próby założenia plantacyi drzew morwowych i tytoniu w pobliżu Ust'-Kamienogorska, co dało dosyć dobre wyniki, tak, iż spodziewa się, że w najbliższym roku będzie można zaprowadzić hodowlę jedwabników i zastąpić zły tytuń miejscowy lepszym amerykańskim.

Po półgodzinnej pogawędce oficer pożegnał się z nami, poczem odwiedziliśmy z p. Grossem tamtejszych zesłańców politycznych. Zawiadomieni o naszej wizycie, zebrali się oni w liczbie około dwunastu w mieszkaniu jednego ze swych towarzyszy, położonem prawie w środku miasta.

Byłoby niemożliwem, a także i niepotrzebnem, opisywać wszystkich zesłańców politycznych, których poznawaliśmy podczas naszej podróży sybe-

ryjskiej; moim zamiarem jest dać o nich czytelnikom tylko ogólne pojęcie i zaznaczyć, jakie na mnie uczynili wrażenie. Zesłańcy w Ust'-Kamienogorsku przedstawiali większą różnorodność typów i dawniejszego swego stanowiska towarzyskiego, niż ci, z którymi spotkałem się przedtem. Znajdowali się tutaj stojący na jednym szczeblu drabiny społecznej szewe wiejski i na drugim — księżniczka kaukaska, a między nimi stali lekarze, aptekarze, literaci, dziennikarze, tłumacze, studenci i właściciele rolni. Większość była pochodzenia szlacheckiego, albo należała do uprzywilejowanej na innej podstawie klasy społeczeństwa rosyjskiego. Kilku mężczyzn i kobiet posiadało w wyróżniającym się stopniu inteligencję i wiedzę. Do tych, których poznałem bliżej należał p. Konowałow, który zupełnie dobrze rozumiał po angielsku, ale mówił tym językiem dość słabo; w 6 miesięcy po moim odjeździe z Ust'-Kamienogorska, położył on — wspomnę tu nawiasowo — samobójstwem koniec swemu życiu, p. Miliuszuk, ciemnowłosa Gruzin z Tyflisu i p. Adam Białowieski, literat z prowincyi połtawskiej. Tego uważałem za szczególnie uzdolnionego; znał on dokładnie historię Rosyi i prawodawstwo rosyjskie, i obeznany był zupełnie z historią i literaturą narodów zachodnio-europejskich. Miał sąd o wszystkim umiarkowany i pozbawiony przesądów i choć jego pogląd na świat zabarwiony był mocno pesymistycznie, znosił swą smutną dolę z godnością i męstwem. Mówiłem z nim nader wyczerpująco o stosunkach rosyjskich i beznamiętne jego sądy o ruchu rewolucyjnym i stosowanych doń przez rząd rosyjski środkach

wywarły na mnie korzystne dla niego wrażenie. Podobnego rodzaju człowieka uważać za „nihilistę”, wydawało mi się niedorzecznością, a wysłać go na Syberyę, jako niebezpiecznego dla społeczeństwa — jeszcze większą. W każdym innym kraju ucywilizowanym na świecie uważano by go za zwolennika partii umiarkowanego liberalizmu.

Ta kolonia zesłańców politycznych w Ust'kamienogorsku była ostatnią jaką zwiedziliśmy w okręgu stepowym. Nim przejdę do dalszego opisu naszej podróży, chcę w krótkości objaśnić, co się nazywa w Rosyi być „w drodze administracyjnej zesłanym.” Rozumie się przez to wygnanie osób, które stały się „niedogodnemi,” z jednej części państwa do drugiej, bez stosowania przy tem choćby jakichkolwiek form, które wszędzie w świecie ucywilizowanym poprzedzają każde pozbawienie kogo jakich praw lub poddanie karze. Zesłany administracyjnie nie potrzebuje być poszlakowanym, o spełnienie jakiego przestępstwa, czy wykroczenia, wystarcza, jeśli jakakolwiek władza miejscowa uważa jego obecność za „szkodliwą dla porządku społecznego”; aresztują go wtedy i z zezwolenia ministra spraw wewnętrznych wysyłają do jakiegokolwiek miejscowości wewnątrz olbrzymiego państwa, gdzie w ciągu lat pięciu znajduje się on pod nadzorem policyi. Czasem nie objawiają mu nawet przychylny zastosowania do niego tego środka, ale gdyby ją nawet poznał, jest on wobec niej bezsilny i bezwładny. Nie może żądać żadnego śledztwa, żadnego badania, nie może żądać konfrontacyi z ludźmi, na których świadectwie oparto się, gdy go uznano

za „szkodliwego dla porządku społecznego,” nie może wezwać przyjaciół, by mu udzielili pomocy, nie chcąc osiągnąć jedyne go ztąd wyniku t.j. narazić ich na wtrącenie w takie samo nieszczęście. Jego związek ze światem zostaje nagle przecięty, tak, iż często najbliżsi jego nie wiedzą, co się z nim stało.

Aby wykazać, jak wszystko uznawanem jest za „szkodliwe dla porządku społecznego,” przytoczę z wielu znanych mi faktów tylko dwa charakterystyczne. Pierwszy wypadek dotyczy p. Konstantego Staniukowicza. Był on synem admirała rosyjskiego i miał widoki, jako oficer marynarki, na świetną karierę. Towarzyszył on Wielkiemu Księżciu Aleksemu w podróży do Ameryki, będąc jednak liberalnych przekonań, wystąpił po swoim powrocie ze służby w marynarce i poświęcił się literaturze.

Pisał nowele i utwory dramatyczne, które się bardzo podobały publiczności, ale wcale nie podobały się rządowi. Na początku ósmego lat dziesiątka stał się on właścicielem i redaktorem znanego miesięcznika „Dzielo.” W lecie 1884 r. odbył on wraz ze swoją rodziną podróż zagranicę i powrócił w jesieni do Petersburga; żona jego i dzieci pozostały w Baden-Baden. Na granicy został on aresztowany, przewieziony do Petersburga i osadzony w twierdzy Petropawłowskiej. Żona nie wiedziała o tem; gdy przecież listy jej pozostawały bez odpowiedzi, zatelegrafowała do redakcyi pisma „Dzielo” i czasowy tegoż kierownik odpowiedział, że p. Staniukowicz tam nie przybył, sam zaś on mniemał, że szef jego bawi jeszcze w Baden-Baden. Zaniepokojona kobieta pośpieszyła do Petersburga,

gdzie jednak niczego się nie mogła o mężu dowiedzieć; nikt z jego przyjaciół nie przez ostatnie dwa tygodnie o nim nie słyszał — zniknął nagle w sposób tajemniczy. Poszła zatem za radą jednego przyjaciela i zasięgnęła wiadomości od naczelnika żandarmerji, generała Orzewskiego, ten zakomunikował jej, że mąż siedzi uwięziony w twierdzy. Policya przejęła przedtem jego listy i dowiedziała się z nich, że korespondował ze znanym rewolucjonistą rosyjskim, który mieszkał w Szwajcaryi; korespondencya była całkiem niewystępnej treści i dotyczyła współpracownictwa w piśmie „Dzieło”. Ale okoliczność, że liberalnie myślący człowiek znajduje się wogóle w stosunkach ze zbiegłym rewolucjonistą, wystarczyło, aby go uznać za szkodliwego dla porządku społecznego. Dopiero w maju 1885 r. został on w drodze administracyjnej zesłany na przeciąg lat trzech do Tomsku, w Syberji zachodniej. Pismo jego naturalnie gnębiono i zrujnowano finansowo.

Jeśli rząd rosyjski postępuje tak samowolnie z człowiekiem, posiadającym poważne i wybitne stanowisko, to co dopiero dzieć się może w takich wypadkach ze studentami, lekarzami i drobnymi rolnikami na prowincyi, gdy się wydadzą władzy „szkodliwymi dla porządku społecznego?”

A oto takt drugi: W mieście Iwangrodzie w prowincyi czernichowskiej, mieszkał w 1879 r. młody, dzielny lekarz, nazwiskiem dr. Biełoj. Choć był on liberałem, nie należał jednak wcale do agitatorów, albo rewolucjonistów, nie uczestniczył on wogóle w sprawach politycznych. Dnia jedne-

go złożyły mu wizytę dwie damy i wręczyły listy polecające. Zostały one z Petersburga, gdzie studyowały medycynę, wydalone do miejsca ich rodzinnego, wewnątrz Rosji z powodu ich „niebłag nadzieźności,” czyli politycznej nieprawomyślności. Pragnęły one jednak ciągnąć dalej swe studia i uczyć się, prosiły więc młodego lekarza, aby im wykladał i pozwolił korzystać ze swej biblioteki. Ponieważ były one u niego „nielegalnie,” jako osoby, które nie mogą się zatrzymywać w miejscu im niedozwolonem, było więc obowiązkiem jego wydać policji obie damy, które pełne zaufania przybyły do niego; nie zrobił tego, lecz przedstawił je swojej żonie i zadosyć uczynił ich prośbom. W roku tym partya rewolucyjna w Rosji rozwijała szczególną czynność. Nastąpiły zamachy na wyższych urzędników i policya stała się jeszcze czujniejszą i podejrzliwszą, niż była dotąd. Częste wizyty dwóch dam w domu lekarza obudziły podejrzenie, policya przeprowadziła śledztwo i wykryła wkrótce, że jedna z nich miała paszport sfalszowany, a druga nie miała żadnego i że obie wydalone zostały z Petersburga za „nieprawomyślność polityczną.” Niedozwolony pobyt w Iwangrodzie i tajemnicze wizyty u dra Biełoja nie były w oczach policji niczem innym, jak spiskowaniem przeciw państwu i 10 maja 1879 r. obie damy zarówno jak i młody lekarz zostali aresztowani i zesłani „w drodze administracyjnej“ na Syberyę. Ostatni wysłany został w okolice podbiegunowe, do położonej pod 67,20 stopniem szerokości półn. wsi Wierchojańska, w prowincyi jakuckiej, gdzie go spotkali w 1882 r. po

zostali przy życiu przybyli tam członkowie wyprawy na „Jeannecie”.

Jego młoda, piękna żona była w stanie poważnym i nie mogła mu towarzyszyć na wygnanie. Po rozwiązaniu jednak, pozostawiwszy dziecko u krewnych, przedsięwzięła podróż o 10.00 kilometrów aby odwiedzić swego męża. Nie miała ona środków na tę kosztowną drogę, musiała więc prosić ministra spraw wewnętrznych, aby jej pozwolonym było udać się z transportem zesłańców, na co się zgodzono. Do Tomaska wszystkich zesłańców wyprawiają koleją żelazną albo parostatkami; od tego miejsca muszą zwyczajni zesłańcy iść pieszo, tylko polityczni jadą na telegach i robią około 95 kilometrów tygodniowo, przyczem co trzeci dzień przypada odpoczynek w więzieniu etapowym. W ten sposób biedna kobieta dopiero po sześć miesięcznej uciążliwej podróży mogła przybyć do męża. Ale do tego nie doszło! Przez całe tygodnie nadzieja i miłość dodawały jej sił i cierpliwości do znoszenia bez skargi trzęsienia teleg, pyłu, gorąca i deszczu, złego pożywienia, twardych tapczanów, zatrutego powietrza, robactwa w domach etapowych, wreszcie siły jej wyczerpały się zupełnie. Pod ciężarem cierpień i umartwień, w ciągłej trosce o męża i dziecko, które porzuciła dla niego, złamał się jej duch i ciało. Ale jeszcze nie ulegała swej doli, choć już dawały się poznać objawy pewnego umysłowego rozstroju. W bliskości Irkucka uspokoiła się, mówiła wciąż o swym mężu, którego spodziewała się ujrzeć wkrótce. Mniemała błędnie, że znajduje się on we wsi Wercholenisk, leżącej niedaleko

Irkucka, tymczasem był on w Werchojańsku, w odległości jeszcze 4500 kilometrów dalej. I gdy się dowiedziała, że ma przed sobą jeszcze drogę tak daleką przez stepy i lasy, że jeszcze przez wiele tygodni jechać musi sama na saniach, zaprzężonych w psy i renifery, aby dostać się do celu, wtedy wybuchnęło z całą siłą pomieszanie zmysłów i zmarła w kilka miesięcy później w szpitalu więziennym w Irkucku, nie ujrawszy swego męża, dla którego miłości tyle wycierpiała.

Ograniczyłem się do pobieżnego naszkicowania tej strasznej tragedii. Ale, gdyby czytający te słowa słyszał tak, jak ja, od zesłańców, którzy razem z nią odbywali pochód, którzy widzieli jak umysł jej ogarniał mrok i którzy starali się jej ulżyć, to opowieść o wiele wydalaby się okropniejszą.

Mógłbym zapełnić całe stronicie opowiadaniem o smutnych losach ludzi, którzy w ostatnim lat dziesiątku nie tylko bezprawnie, ale wogóle bez przyczyny zesłani zostali na Syberyę.

Znany nowelista rosyjski Włodzimierz Korolenko był w 1879 r., wskutek pomyłki władzy—co później i rząd także przyznał— zesłany do Syberii Wschodniej. Wpływowym przyjaciółom udało się wyjaśnić tę pomyłkę i mógł on powrócić wprzód jeszcze, zanim przybył na miejsce przeznaczenia.—Ogarnięty wściekłością wobec krzywdy, jaka mu się stała i wielu cierpień, które znieść musiał, odmówił złożenia przysięgi poddańczej Aleksandrowi III, przy wstąpieniu tegoż na tron i został za to zesłany do prowincyi jakuckiej. P. Borodin, znany współpracownik pisma „Otieczestwiennyje Zapiski“,

został zesłany do Irkucka za „niebezpieczną i szkodliwą“ treść manuskryptu, który wypadkiem znaleziono u niego przy rewizyi domowej. Była to kopia rękopisu o prowincyi wiackiej, którą miał przesłać redakcyi wspomnianego pisma i który nie był jeszcze ogłoszony drukiem. P. Borodin musiał za autorstwo tej pracy, która w cztery miesiące potem ukazała się w piśmie,— wędrować na Syberyę w szarem ubraniu skazańca, z żółtym czworokątem na plecach. Minister spraw wewnętrznych zesłał go za to, że posiadał rękopis „niebezpiecznej i szkodliwej“ pracy, którą później cenzura w Petersburgu, jako zupełnie niewinną, dopuściła do ogłoszenia.

Niejaki Oczkin z Moskwy zesłany został w 1885 roku w drodze administracyjnej na Syberyę, gdyż jak głosił rozkaz aresztowania— podejrzany był o „nielegalny“ sposób myślenia. Jego przestępstwo, urzędownie nie wymienione, zasadzało się na tem, że zamierzał zmienić nazwisko.

Co go podało w podejrzenie, że powziął „nielegalne“ zamiary, nie mógł się nigdy dowiedzieć.

Inny zesłaniec, którego sam znałem, p. J., został jednego razu zesłany jedynie za to, że był za przyjaźniony z p. Z., który był oskarżony o uczestnictwo w spisku politycznym. Sam Z. uznany został przez sąd za niewinnego i uwolniony, podczas gdy jego przyjaciel, J., był zesłany na Syberyę w drodze administracyjnej.

Inny wypadek. Młody student, nazwiskiem Włodzimierz Sidorski — piszę nazwisko fikcyjne—

został w Moskwie aresztowany zamiast podejrzanego p. Wiktora Sidorskiego.

Wszystkie jego protesty i wyjaśnienia, że mu na imię Włodzimierz, nie Wiktor, były bezskuteczne;— policja musiała wykryć sprzysiężenie i znaleźć „podejrzanego“, nie miała więc czasu sprawdzać tożsamości jakiegoś tam studenta.

— Coś tam jest w tej sprawie—sądziła—inaczej nie byłby aresztowany. Najlepiej będzie wysłać go na Syberyę.

I tak się też stało. Gdy prowadzący transport oficer wywołał zesłańca po nazwisku, Włodzimierz mileżał, gdy go nazwano Wiktorem Sidorskim.

Podrażniony oficer zawołał:

— Wiktorze Sidorski, dlaczego nie odpowiadasz?

— Gdyż to nie jest moje imię, ono należy do zupełnie innego Sidorskiego.

— Jak się więc zowiesz?

— Włodzimierz.

— To wszystko jedno! — zauważył oficer nie dbale, przekreślił w liście imię Wiktor i napisał na to miejsce Włodzimierz.

W 1874 r., aresztowany został student, nazwiskiem Jegor Łazarew, w jednej z południowo-wschodnich prowincyi Rosyi, za tajną propagandę rewolucyjną; więziony był przez cztery lata w Petersburgu, w oddzielnej celi, podczas prowadzenia śledztwa i w końcu został uznany za niewinnego.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby taki, który padł ofiarą tak wielkiego gwałtu i niesprawiedliwo-

ści, zwrócił się do partyi terorystów; ale p. Łazarew wziął się na nowo do przerwanych studyów i zachowywał się całkiem spokojnie. Został potem adwokatem i osiedlił się w Saratowie nad Wołgą, nie będąc już nagabywany przez policyę.

Jednego dnia wszakże, było to w lecie 1884 roku, pojawił się u niego policyant z wezwaniem, aby się stawił u gubernatora. P. Łazarew, który znał się z tym panem dobrze, udał się bez obawy do niego i otrzymał odeń suche zawiadomienie, że jest zesłany na przeciąg lat trzech na Syberyę.

P. Łazarew skamieniał ze strachu i zdumienia.

Wreszcie, przyszedłszy do siebie, zapytał:

— Czy mogę spytać, ekscelencyo, na jakiej zasadzie?

— Nie wiem tego. Mam tylko rozkaz od ministra spraw wewnętrznych,— była odpowiedź.

Tylko pośrednictwu wpływowych znajomych w Petersburgu zawdzięczał, że udzielono mu czteronastodniowej zwłoki dla uporządkowania spraw.

Następnie wysłano go do Moskwy, gdzie pozostawał do wiosny w więzieniu etapowym, gdyż ostatni transport w owym roku już był właśnie odszedł. Ztamtąd wysłał on do policyi prośbę piśmienną, aby mu zakomunikowano przyczynę uwięzienia, na co otrzymał krótkie zawiadomienie:— Został pan do Syberyi wschodniej wysłany pod nadzór policyi dlatego, że pan swego występnego dawniejszego postępowania nie zmazał.

A więc został on zesłany, dlatego, że niby „występnego postępowania“ nie zagładził, choć we-

dle wyroku sądowego został z tego powodu uznany za niewinnego.

Podczas pobytu jego w więzieniu etapowym w Moskwie, mówiło z nim kilku zesłańców politycznych dnia jednego o jego losie. Jeden opowiadał, że znaleziono u niego książki zakazane, drugi że był podejrzewany o propagandę rewolucyjną, trzeci przyznał się, że był członkiem tajnego związku.— Gdy Łazarewa pytali oni o przyczynę jego uwięzienia, odpowiedział, że mu jest nieznaną.

— Nie wie pan dlaczego? — Zawołał jeden z towarzyszy niedoli. — Czy pański ojciec nie miał krowy pstrokaiej?...

— Być może, odpowiedział—mój ojciec posiada wiele krów.

— No widzi pan!—zaznaczył drugi sarkastycznie.—Czyż trzeba jeszcze więcej? Jest to przecie wystarczające.

Dn. 10 maja 1885 r. został p. Łazarew wyprawiony z Moskwy na Syberyę i 10 października po 22 tygodniach podróży przybył po Czyty, po tamtej stronie Bajkału, gdzie go poznałem.

Źródła tych wszystkich bezprzykładnych krzywd, grubej brutalności i najniedorzeczniejszych „nieporozumień i pomyłek“, które dziejom zesłania administracyjnego nadają cechy jakiejś fantazyi piekielnej—kryją się w absolutyzmie, który nie zna żadnego ograniczenia we władzy wykonawczej, żadnej odpowiedzialności za środki bezprawne. Wobec zesłańców politycznych ministra wogóle nie krępują żadne zastrzeżenia prawne i ponieważ niemożliwym jest samemu wszystko zbadać, co mu przedstawiają

do rozstrzygnięcia, musi on więc część swej nieodpowiedzialnej władzy przenosić na naczelników policyi, komendantów żandarmeryi, gubernatorów i innych urzędników. Ci oddają znowu część jej swym podwładnym, z których wielu jest ograniczonych umysłowo, nieświadomych lub złośliwych. I tacy ludzie prowadzą śledztwa, od których zależy życie albo wolność obywateli!

W teorii wszystkie wypadki, dotyczące przestępstwa politycznego albo zesłania administracyjnego, badane być winny przez kolegium, które składa się z ministra spraw wewnętrznych, jako przewodniczącego, oraz trzech jego urzędników i dwóch z ministerjum sprawiedliwości. W praktyce jednak dzieje się tak już z tej prostej przyczyny, że minister nie ma na to czasu. Jak doniosła gazeta rosyjska „Strana“ w 1881 r., roztrząsano nie mniej, jak 1500 spraw politycznych, w cesarskim departamencie policyi. Wiele załatwiono w drodze administracyjnej i gdyby minister choćby czwartej części spraw tych zechciał poświęcić tyle uwagi, ile jej trzeba do ich wyświecenia, to na nic innego nie starczyłoby mu już czasu. Podpisywał więc, nie czytając, przedstawiane mu papiery.

Jak łatwo jest w Rosyi otrzymać podpis wysoko postawionego urzędnika na dokumencie, dowodzi następująca anegdota, którą mam słuszną zasadę uważać za prawdziwą.

Szeł biura zarządu prowincjonalnego w Tobolsku, chwalił się raz swym wpływem i założył się z jednym urzędnikiem, że gubernator podpisze mu każdy papier dowolnej treści, o ile będzie miał for-

mę aktu urzędowego, ostemplowanego. Zakład stanął i szef wygrał, gdyż gubernator podpisał napisany w formie aktu—Ojciec nasz.

Jak wiele osób przez lekkomyślne podpisywanie zostaje oskarżonych niesłusznie, zwłaszcza w wypadkach zesłania administracyjnego, wykazuje okoliczność, że liberalny minister Loris-Melikow po objęciu przezeń stanowiska urzędowego w 1880 roku uznał za konieczne utworzyć komisję do zbadania zesłań administracyjnych; miała ona za zadanie możliwie jaknajwięcej rozpatrzyć „pomyłek” i „nieporozumień,” z powodu których ze wszystkich stron państwa ofiary ich wniosły beznadziejne protesty. Liczono wtedy zesłanych administracyjnie i innych skazańców politycznych 2,800.

Do 23 stycznia 1881 r. zbadala ta komisya, pod przewodnictwem generała Czerewina, 650 wypadków uwięzień politycznych i polecila 328 osób, czyli więcej niż połowę z liczby zbadanych aresztowań, natychmiast uwolnić i powrócić do miejsc ich zamieszkania.

Jedynym środkiem położenia końca takiemu stanowi rzeczy byłoby wyjąć z pod władzy policyi nieodpowiedzialnej przestępstwa polityczne i powierzyć je sądom, oraz udzielić oskarżonym prawa obrony. Rząd jednak nie chce nic o tem wiedzieć. Moskiewskie „zebranie szlacheckie” wystosowało do korony podanie powyższej treści; pozostawiono je bez skutku, a nawet—o ile się nie mylę—nie udzielono żadnej odpowiedzi.

Przed 1882 r. rozporządzenia co do politycz-

nych zesłańców na Syberyę bywały komunikowane gubernatorom prowincyi, od czasu do czasu tylko, w cyrkularzu ministra spraw wewnętrznych. Wskutek zmiany osób i systemów w ministeryum rozporządzenia te stały w końcu w takiej ze sobą sprzeczności i wytworzyły tyle „pomyłek,” „nieporozumień” i „nieprawidłowości” w stosunku władz miejscowych względem zesłanych, że minister był zmuszony, za aprobatą cesarza, wydać 12 marca 1882 roku, nowe przepisy. Urzędową kopię tychże przywiozłem z Syberyi i leży ona przedemną. Tytuł brzmi: „Przepisy o nadzorze policyjnym.”

Najdziwniejsze jest to, że rząd uważa zesłania i nadzór policyjny, nie jako karę za spełnione przestępstwa, tylko jedynie jako środek ostrożności dla przeszkodzenia ich spełnieniu. Pierwszy paragraf brzmi:

„Nadzór policyjny (do którego należy i zesłanie w drodze administracyjnej) jest środkiem zapobiegania przestępstwom przeciw istniejącemu ustrojowi; może on być rozciągnięty na wszystkie osoby, które są niebezpieczne dla porządku społecznego. Rozstrzygnięcie, kto jest „niebezpieczny dla porządku społecznego,” leży w rękach generał-gubernatorów, gubernatorów, policyi i władze te wydają sąd o tem, co kto zdziałał, i ile według ich zdania, mógł zdziałać. Zresztą inne rozstrzygnięcie sprawy zaledwie jest dla nich możliwe, gdyż cel zesłania administracyjnego opiera się na ostrożności. Ma ona zapobiedz czynom, gnębiąc cudze zdanie. W takich okolicznościach powinnyby „Przepisy o nadzorze

policyjnym" być właściwie zatytułowane „Przepisy o opinii prywatnej," i w tym sensie są one przez policję rosyjską rozumiane.

Twierdzenie, że zesłanie administracyjne nie jest żadną karą, tylko środkiem ostrożności jest czczym wykrętem. Jeśli pięcioletnie zesłanie do prowincyi Irkuckiej nie jest karą, to musi chyba słowo „kara" mieć w prawie rosyjskiem nader dziwaczne znaczenie. Dla kobiet i dziewcząt zesłanie na Syberyę równa się często wyrokowi śmierci.

W 1884 r. zesłano młode, piękne dziewczę, Zofię Nikitinównę, która studyowała w Kijowie, w drodze administracyjnej do oddalonej prowincyi Syberyi wschodniej. Podczas drogi między Tomskiem i Aczyńskiem, gdy podczas pory zimowej zrobiła około 4,800 kilometrów, zachorowała na tyfus, którym się zaraziła w jednej z nór zapowietrzonych, zwanych domami etapowemi. Transportowi więźniów nie towarzyszył żaden lekarz i wleczono chorych dalej, nie troszcząc się o to, jaki jest ich stan i stan powietrza, aż do chwili, gdy transport przybył do szpitala więziennego.

Między Tomskiem i Irkuckiem, na przestrzeni więcej niż 600 kilometrów są tylko cztery szpitale i chorych wiozą nieraz dwa tygodnie na saniach albo telegach, o ile w ciągu tej drogi nie zakończą życia. Jak długi czas panna Nikitinówna wśród zimy, chora, spędziła w drodze, nie wiem; wkrótce po przybyciu do szpitala więziennego w Aczyńsku, pożegnała swe młode życie. Jednakże — jaką pociechę dla biednej tej istoty musiała być myśl, gdy

w brudnej chacie o 5000 kilometrów od miejsca rodzinnego kończyła żywot, że nie odbywa żadnej kary za spełnione przestępstwo, tylko, że to zesłanie jest środkiem ostrożności ze strony rządu, przedsięwziętym, w celu przeszkodzenia jej do spełnienia czegoś, co jest „niebezpiecznem dla porządku społecznego.”

Helena Machet zmarła w Moskwie, wkrótce po jej powrocie z wieloletniego zesłania, i jej małżonek Grzegorz Machet, zdolny literat, został również zesłany administracyjnie. Ten sam los spotkał księcia Aleksandra Krapotkina, wysoko wykształconego człowieka, biegłego matematyka i astronoma. Stało się to dlatego, że był bratem znanego rewolucjonisty rosyjskiego księcia Piotra Krapotkina. Dziesięć lat spędził on na Syberyi i skończył samobójstwem w 1886 r. w Tomsku.

Wiktorya Gukowskaja, dziecko 14-toletnie, została w 1878 r. z Odesy zesłana na Syberyę i—powiesiła się w Krasnojarsku.

Jeden zesłaniec administracyjny, nazwiskiem Bochim, wpadł w 1884 r. we wsi Amga w szaleństwo i zadał śmierć swej żonie, swemu dziecku i sobie.

Tak, gdyby przynajmniej cel zamierzony był osiągnięty, byłoby to, z punktu widzenia rządu, być może, wytłomaczonym, ale celu się nie osiąga, jak się o tem można przekonać ze sprawozdania general-majora Mikołaja Baranowa, gubernatora prowincyi archangielskiej, do ministra spraw wewnętrznych. Czytamy tam między innymi:

„Zgodnie z doświadczeniem minionych czasów i na zasadzie własnych spostrzeżeń doszedłem do przeświadczenia, że zesłanie w drodze administracyjnej z powodów politycznych, raczej psuje charakter, niż tenże poprawia. Przejście z bytu dostatniego, do życia w niedostatku, z życia towarzyskiego do samotności, od działalności do bezczynności przymusowej — wpływa tak zgubnie, że zesłańcy często wpadają w pomieszanie zmysłów i popełniają samobójstwa. Jest to proste następstwo wyjątkowych stosunków, w jakich zesłani zmuszeni są żyć. Dotąd jeszcze się nie zdarzyło, aby zesłańcy w drodze administracyjnej, po swym powrocie do miejsca rodzinnego, pojednali się z rządem i przekonali o swym błędzie, żeby stali się pożytecznymi członkami społeczeństwa, wiernymi sługami cesarza. Przeciwnie zdarza się, że zesłany przez pomyłkę, albo nieporozumienie administracyi dopiero na miejscu zesłania, częściowo pod wpływem innych zesłańców, częściowo z powodu rozgoryczenia, staje się politycznie nieprawomyślnym. Gdy kto jest wrogiem rządu, to zesłanie doprowadza go do tego, że jego wrogie usposobienie jeszcze wzmacnia, z teoretyka robi się z niego praktyka, to jest rzeczywiście niebezpiecznego człowieka.”

Nigdy jeszcze żaden wyższy urzędnik rosyjski nie wypowiedział zupełniejszej prawdy, jaką zawierają te słowa, i aby wykazać beczelowość systemu deportacyjnego, dosyć mi jest ograniczyć się do przytoczenia tego szczerego sprawozdania. Sprawę jednak można rozważać z innego, niż beczelowość, punktu widzenia, z punktu widzenia prawa ludz-

kości i moralności, i przejdę do tego w następstwie. Tu chciałem tylko głównie wykazać, w jaki lekko-myślny, bezwzględny i niesprawiedliwy sposób obywatele rosyjscy wysyłani bywają w drodze administracyjnej na Syberyę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
413.	Gen. Roman Soltyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415.	Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419.	Sir Edward Buiwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421.	Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAŃSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422.	W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425.	DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427.	OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428.	LARIK. J. Gadomski	40	25
429.	WŁÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432.	Z. Morawska. ZMIERZCH I SWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75

Tom.		CENA	
		w opr. brosz	
		kop.	kop.
433.	Ludwik Proal. ZBRODNIĘ POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436.	Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowiadanie	40	25
437.	Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463.	Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440.	Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studium powieściowe	40	25
443.	J. Scher. Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447.	Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457.	A. Kuprin. POJĘDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450.	Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, przekł. E. Węśławskiej	40	25
451.	Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454.	PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456.	Jerzy Ródenbach. DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459.	Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462.	Grazia Deledda. POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram Kościalkowskiej	80	50
464.	Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoui J. Mikulski	25	40

K.V. 1/14. 720-

9/7. 49

